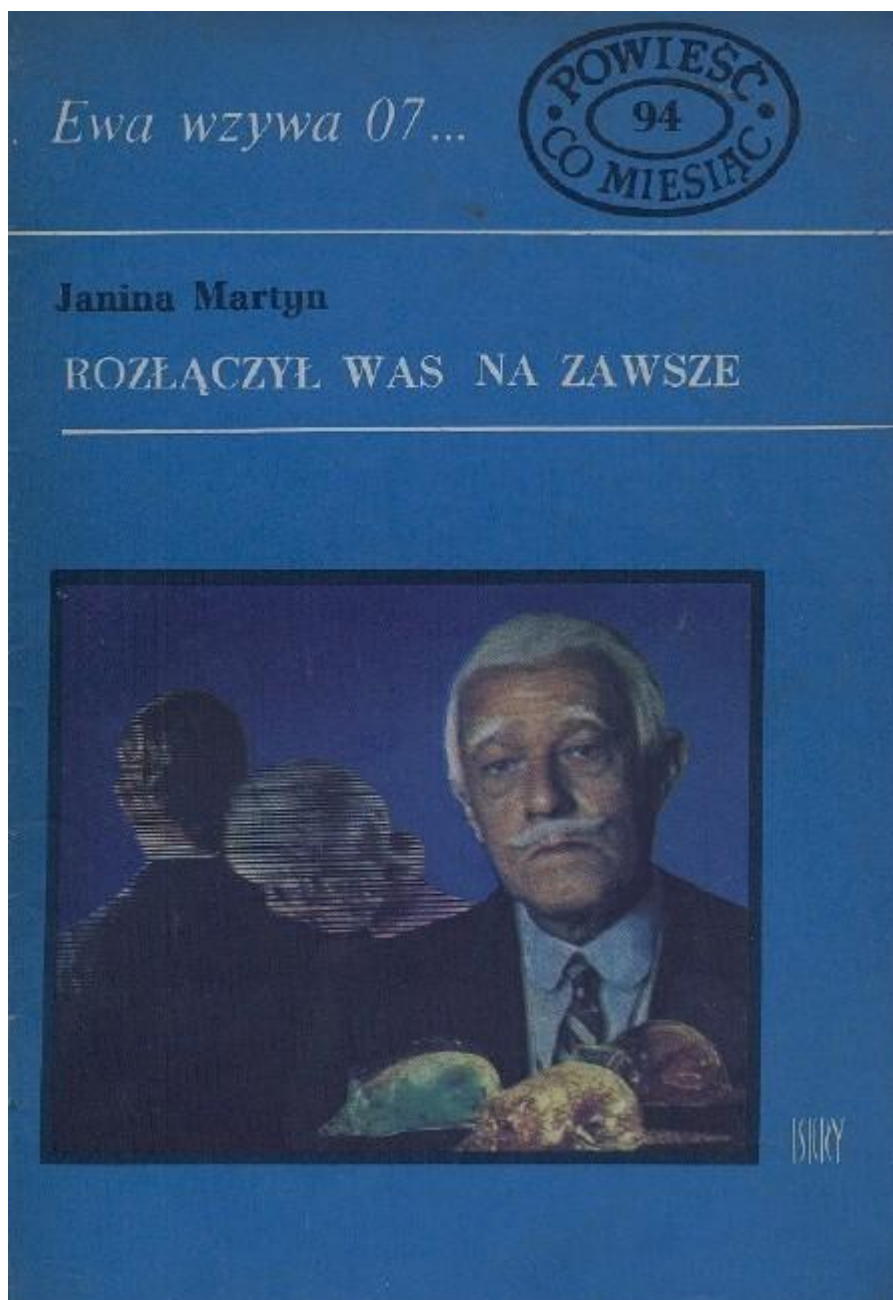


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Janina Martyn

Rozłączył was na zawsze



— Naprzód, durniu, czemu się wahasz?! Do gardła. Nie tak. Pojęcia nie masz.

Wrzaski zza drzwi huczały po całej klatce schodowej. Głos był w cichszych partiach lekko drżący, jak gdyby starczy. Przy wrzasku przechodził w przeraźliwy skrzek.

Rogozieński zapukał. Za odrapanymi drzwiami, nieźle widocznymi przy świetle górnego okienka, zapadła cisza.

— Tak jest zawsze. Ile razy pukam.

— Od dawna to tak trwa?

— Odkąd się wprowadził. Będzie z pół roku.

— Czekaj pan, sam spróbuję. Milicjant zajął w wąskim przejściu miejsce Rogozieńskiego i odmierzał stukanie równomiernie, ale z dużą siłą.

Na dole zebrała się grupka lokatorów. Rej wodziła zażywna pani Leluchowa z parteru. Opowiedziała, że już przeprowadzka profesora zdradzała wariata. Żadnych mebli nie przywiózł.

Zjawił się w wytartym paltociku, dźwigając dużą drewnianą skrzynkę. Odtąd codziennie podobne paczki znosił. Wychodził jedynie wieczorami. Należności za prąd i czynsz zostawiał dozorczyńni. Nikogo do siebie nic wpuszczał.

Krzyki zaczęły się miesiąc po wprowadzeniu.

— Do kogo ten diabeł tak się drze? — mówiła Leluchowa. — Nigdy żywego ducha nie zobaczyła, żeby do niego wchodził.

— No i ma pan, tak jest ciągle — denerwował się na górze administrator Rogozieński. — Zapukasz, ten ucichnie i już do drugiego ranka jest spokój. A potem zaczyna się od nowa. Panie profesorze — krzyknął od drzwi — otwórz pan, władza puka!

Sierżant Pęk kręcił się pod drzwiami, obmacywał, jakby naprawdę chciał je wysadzić. Wezwano go, więc udawał, że chce pomóc. W gruncie rzeczy wolałby się wycofać. Takie „zakłócenia porządku” zdarzają się codziennie i władza wobec nich jest bezsilna.

— To co? Spisze się protokół...

— Co tam protokół. Lokatorzy mnie zameczą. Muszę się do niego dobrać i wtłoczyć do głowy, że jak się nie uspokoi, to go do kwaterunku podam na eksmisję.

— Akurat — mruknął milicjant — wyrzucić, łatwo się gadu. A dokąd przekwaterować? — Zdenerwował się. Zaczął walić pięścią w drzwi z całej siły.

— Otwarte, przecież otwarte — rozległo się tuż zza drzwi.

Milicjant nacisnął. Znaleźli się w wąskim przedpokoju. Z pokoju padało nagle światło. Sprawca wrzasków był bardzo wysoki, z cienkim, orlim nosem i niewielkimi oczami o mrugających szybko powiekach. Na groźnego przestępcę nie wyglądał.

Jakiś pocziwiec — pomyślał sierżant Pęk.

Człowiek zastawił jednak drogę swym chudym ciałem i zapytał:

— O co panom chodzi?

— O te hałasy, panie profesorze. Przetarł oczy, jakby zbudzony ze snu.

Milicjant przestraszył się, że szlafrok starego za lada podmuchem rozleci się, taki zniszczony. Byłby nowy kłopot z obrazą moralności.

— Tak nie można, panie, cała kamienica się trzęsie, jak pan krzyczysz, zakłócenie porządku...

— Ach, o to chodzi. Ja. proszę panów, pracuję. To mój zawód.

— Ładna praca — zaperzył się administrator Rogoziński wymachując rękami — do występu się pan profesor szykuje, czy co? Ludzie ani spać, ani żyć nie mogą.

— A można wiedzieć, gdzie pan... gdzie pan profesor -- milicjantowi nijako było omijać tytuł, którym szermował administrator. — Gdzie pan pracuje?

— Tu.

— Co pan robi? A w ogóle proszę nie trzymać nas w przedpokoju, muszę spisać, a tu ciemno.

Odsunął uśmiechającego się filuternie starego i wszedł do odrapanego pokoju, pustego jak jaskinia w górach. Po prawej były otwarte drzwi do jakiejś komórki czy służbówki pełnej żelastwa. Pod oknem walały się rozścielone materace z brudną pościelą. W kącie stało duże zdjęcie mężczyzny, rozpięte na sztalugach jak u malarza.

Zarówno sierżantowi Pękowi, jak i Rogozińskiemu zrobiło się przykro: taka nędza. Poza tym nic było na czym usiąść.

— Zaraz panom pokażę, dlaczego krzyczę — powiedział nagle profesor zza ich pleców. Paroma wielkimi susami znalazł się w swej komórce, pochylił się i grzebał długo.

Komórka. Było to bardzo umowne określenie dla klitki, która niezwykle jasno oświetlona sztucznym neonowym światłem tworzyła drastyczny kontrast z nędzarskim pokojem mieszkalnym.

Z pułapu zwieszały się imaki: czarne delikatne palce jak gdyby wielkich pajaków. Obrotowy stolik pośrodku wyposażony był w bardzo nowocześnie wyglądający mikroskop.

Jakieś aparaty, delikatnie szumiące, wisiały na ścianach niby dziwaczne, abstrakcyjne rzeźby. Sierżant Pęk widział wszystko jak na dłoni. Profesor bowiem zostawił drzwi od komórki na oścież otwarte. Widocznie chciał faktycznie zademonstrować miejsce swojej pracy.

Wejściu i wyjściu profesora z komórki towarzyszył głośny warkot, przypominający warczenie szybkiego wentylatora.

Chwilę grzebał w skrzyni białej i lśniącej, która tkwiła pod ścienną aparaturą. W ostrym świetle pomieszczenia twarz pochylonego wyglądała jak mapa plastyczna.

Dawno nie widziałem tak pooranego zmarszczkami oblicza — pomyślał Pęk. I do Rogozińskiego:

— Ile on właściwie ma lat?

— Wie pan, że nie pamiętam. Rusza się jak młodziak, tylko gęba zniszczona.

Profesor wracał powolutku niosąc niewielki przedmiot. Położył go na podłodze. Roześmiał się i przemówił:

— Przedstaw się panom, szcurku, no, ruszaj się, gamoniu, za długo myślisz!

Zwierzątko o rozmiarach kota tylko mordkę miało szcurzą. Reszta przypominała kieszonkę i połyskiwała jak szkło. Wtem przez kieszonkę te ciało przebiegł ogień. Szcur ruszył na milicjanta.

Przedstawiciel władzy cofnął się o krok. Na twarzy malowała się niepewność: uciec czy wytrwać. Czuł się, jak poszczuty złośliwie psem.

Zwierzątko nic wydało żadnego głosu. Kilkakrotnie okrążyło but z cholewą i zbliżyło się do Rogozińskiego.

Ten bez żenady odskoczył do tyłu.

— Tak, to bardzo śmieszne — plótno — dobrze już, dobrze, ale weź go pan.

— Co to takiego? — zapytał milicjant.

— Co? — profesora wyraźnie bawiło zmieszanie i przestraszanie gości. Miał swoją zemstę za ich nieproszone wtargnięcie. — To zabawka, zabawka, panowie. No, huncwocie, do nogi! — Zwierzątko zawahało się. — Widzicie, cała tajemnica moich krzyków na tym polega, że on nie zawsze chce mnie słuchać. Do nogi, bydlę! Konstruuje takie specjalne zabaweczki. Szczurek, podejdź do pana w mundurze i daj mu się wziąć do ręki.

Podbiegło gwałtownie. Trudno było stwierdzić, czy pędzi na kółkach, na nóżkach, czy też sunie jak sanki. Kręciło główką, przytulone do cholewy buta.

— Nic bój się go pan. Proszę go wziąć do ręki. No!

Milicjant pochylił się posłusznie. Spróbował wyciągnąć dłoń. Zwierzątko uciekło i ręka uciekła.

— Trzeba ufnie, panie komisarzu — drwił profesor — on jak czuje nieufność, to się boi. A czuje wszystko doskonale.

— Jak się nazywa takie zwierzę?

— Moje? Szczurek.

— I nie jest żywy?

— Nie. Zabawka. Było już o tym w gazetach. Pan gazet nie czytuje? — zwrócił się z wyrzutem do sierżanta. — Ja dla jednej instytucji próbuję zrobić takie zabawki z mózgiem, z mózdzkiem elektronicznym. Panowie zapewne słyszeli o elektronicie. O komputerach?

— Jakże, jakże, to takie, tego, mózgi z lampami radiowymi... — chwalił się Rogoziński, pstrykając palcami. Był oszołomiony: w tej chwili nie odróżniłby psa od kota.

Sierżant Pęk ochłonął pierwszy. Wziął zwierzątko. Ciało miało elastyczne, wypełnione miniaturowymi błyskami.

— To niech się pan ciszej zachowuje-Bo w kamienicy kłopot — mówił, czujnie wpatrzony w nieruchomy przedmiot na dłoni. W pewnym momencie na szept profesora szczurek wyrwał się, zeskoczył i zniknął w ciemnym kącie.

Profesor mrugnął porozumiewawczo okiem.

— Za moje dawne zasługi dla przemysłu elektronicznego pozwolono mi stworzyć sobie małe, wprost miniaturowe laboratorium, w którym montuję zwierzątka do zabawy dla dużych, mądrych dzieci: Wymaga to specjalnych warunków. Stąd to pomieszczenie laboratoryjne. Gdy do niego wchodzę i gdy z niego wychodzę, automatycznie uruchamiają się filtry i usuwają pyły, jakie ze sobą i na sobie wnoszę. Proszę sobie wyobrazić, że w każdym trzydziestu litrach powietrza w tym pomieszczeniu nie może się znajdować więcej niż 100 pyłków. Inaczej nie mogłyby działać...

Mówił długo i zawile o lampach, tranzystorach i obwodach scalonych, o miniaturyzacji aparatów i o maleńkich mózgach elektronicznych, mieszczących się na płytkach krzemu o rozmiarach 3X3 milimetry.

Pęk starał się dobrze zapamiętać tę lekcję. Ale profesor nagle przerwał, jeszcze raz kazał błyskawicznie przedefilować szczurkowi przed gośćmi i zaraz szybko zapędził gości do wyjścia. Podał każdemu rękę i zatrasnął drzwi.

— Ale ci zabawka — rzekł Rogoziński. — Tylko czemu on wykrzykuje o gardle, o skoku, jakby do walki zachęcał. Nie spytał się pan, aha.

— Sprawdź, jak z tymi zabawkami-Niech go diabli! — Pęk przypomniał sobie, że nie zdążył także zapytać, dla jakiej instytucji takie rzeczy są wytwarzano i w której gazecie o tym było. Trzeba zawiadomić na wszelki wypadek porucznika Berdę. Może to przemyt, czy co u licha.

Gdy wyszli, profesor zwrócił się syczącym wściekłym szeptem do nieruchomego szczurka:

— Durniu, jolopie, tępaku! Weź go! Bierz! — i wskazał wielką fotografię na sztalugach. Zwierzątko biegało dokoła pokoju coraz prędzej, jakby zdenerwowane humorami swego pana.

2

W tym samym momencie wchodziła do sklepu z zabawkami niezwykle piękna młoda kobieta. Sprzedawca poznał ją od razu. Miała puszyste, długie włosy ciemno-oblond, których barwy nie starała się tuszować żadną kosmetyką. Równocześnie używała dość jaskrawej szminki do warg i robiła sobie tuszem długie rzęsy. Była wysoka, ale nie za szczupłą.

Figurka wspinała, to najważniejsze — pomyślał sprzedawca.

— Pani sobie życzy? — zapytał impertynencko uniżonym tonem. Zaraz dodał: — Zabawek mechanicznych nowego typu mało, ciągle za mało. Mamy teraz jedynie małąkę wspinającą się po linie, produkcja NKD, no i nasze autka, które nie-bardzo chcą jeździć-

Rozejrzała się niedbale po półkach mrużąc oczy. Typowe dla krótkowidzów z pretensjami: wstydzi się nosić okulary? Wiedział, że i tak niczego nie kupi.

Po co wice ciągle przychodzi? Forbę ma. bo nieźle ubrana, a w zeszłym tygodniu odwoził ją wartburgiem jakiś kulturysta — facet z barami ciężarowca i twarzy, anioła — mówił jej „dzidziusiu”, gdy się żegnali przy otwartych drzwiach sklepu.

Niechętnie wyjmował jedną za drugą zabawkę spod lady, nauczony doświadczeniem: towar odkrywany zniemacka lepiej się podoba. Na autka nie spojrziała, małąkę obrzuciła uważniejszym spojrzeniem.

— Nakręca się?

Chciał zademonstrować, machnęła ręką, weszli nieco gorzej ubrani klienci, szybko schował wszystko pod ladę.

— Nic nowszego, naprawdę nic nowego nie ma?

—A szanowna pani czego by chciała? Kolejeczki hiszpańskie — zniżył głos — może przyjdą po pierwszym. Mogę schować... No?

— Szukam zabawki, której nakręcać nie trzeba.

— O, balonik (nie warto, trzecia sorta), bączki, żołnierzyki. Dla chłopaka czy dla dziewczynki?

— Dla chłopca — powiedziała smutno.

— To się proszę namyślić, zaraz przylecę — odszedł majestatycznie do reszty gości

— Panie, panie — seksbomba rzuciła się za nim, roztrącając mamy i tatusiów dyskutujących, - czy lala ma ładne czy brzydkie oczka. — Co to za szczur?

— Szczur, gdzie? — zawołali panowie, starając się dzielnie opanować swój strach przy paniach. One się nie krępowały. Podniosły wrzask, odskakując od lady.

— Tam — pokazała na półkę.

— Eee, nie żaden szczur, chyba myszka, proszę pani.

— Do nakręcania?

— Kluczy nie ma, więc chyba nie. Dzisiaj przywieźli. Pani życzyła mechaniczną zabawkę. Po co to miałem pokazywać?

Wzięła zwierzątko błyszczące powleczone cienką, przezroczystą niemal skórką. Obmacywała dokładnie.

— Bierze pani?

Nie odpowiedziała. Była coraz bledsza.

— Dużoście tego dostali?

— Trzy sztuczki. Tego nikt nie kupi. Nie nakręca się. Chyba dla ozdoby półeczki.

— Z jakiej firmy?

Obracał -w palcach drugie, identyczne zwierzątko, pragnąc odczytać znak. Hieroglifów było kilkanaście. Skrzywił się.

— To krajowe — powiedział. — Phi — dmuchnął.

Zwierzątko wyrwało mu się i hops na środek sklepu. Przewijało się wśród ludzkich nóg, spłoszone.

Klienci się rozbiegli. Sprzedawca wyskoczył z za lady. Wchodząca właśnie dziewczynka uchyliła drzwi. Ciało z długim ogonem wpadło wprost na nią. Krzyknęła i uciekła.

Seksbomba wypadła za zwierzątkiem. Sprzedawca także.

Chwilę biegli oboje ramię przy ramieniu. Ludzie przystawali i pukali się w czoło. Spocony sprzedawca dobiegł do zakrętu. Tu przypomniał sobie, że cały sklep zostawił na łasce przechodniów. Jeszcze szybciej zawrócił.

Tłumek się zrobił przed wystawą.

Wewnątrz na szczęście opustoszało. Jakiś przechodzący właśnie dziennikarz dopytywał się, co się dzieje. Sprzedawca sięgnął po specyfikację. Napis brzmiał „Szcurek elektroniczny. Cena 599 złotych. 99 groszy”. Szcurek? Ciekawe, ta ona to od razu poznała. „Zabawkę uruchamiać dmuchając silnie między oczy. Rozumie takie słowa jak »do nogi«, »szukaj pana...”

Czy ja zwariowałem? — pomyślał sprzedawca.

Dziennikarz zainteresował się. Już miał temat do następnego zjadliwego felietonu, piątego z kolei o zabawkach: „Dotychczas nasze zabawki dla milusińskich nie potrafiły w ogóle poruszać się, teraz zaczynają uciekać ze sklepów. Kiedy - wreszcie położymy kres...”

Kobieta goniła szcurka, klucząc między samochodami i tramwajami. Zwierzątko wyraźnie zwolniło. Jak gdyby nie wiedziało, gdzie się podziać w obcym terenie.

Znaleźli się nad Wisłą. Brudna fala była tuż przed mordką szcúra. Kobieta w ostatnim momencie, gdy zwierzątko zdawało się namyślać, czy wejść do wody, zrozumiała, że pogoń będzie daremna. Porwała głaz z rozkopanej jezdni i całą siłą cisnęła w kiskowaty kształt. Stała nad szcurkiem zupełnie zgniecionym. Porwała go, obejrzała dokładnie, a stwierdziwszy, że został z niego martwy placek, cisnęła mściwie do wody.

— Co się stało? — pytał porucznik Berda, wskazując zapłakanej krzesło. — Co pani jest?

Nie zwróciła uwagi na zaproszenie. Przechyliła się przez kontuar przedzielający surową, milicyjną kancelarię i dyszkantem wyrzuciła z siebie.

— Niech go pan ratuje. To zemsta. Niech go pan ratuje. Ratujcie! Do wszystkich sklepów z zabawkami nadeszły elektroniczne szczurki. Po dwa, po trzy. Próbowалаm wykupić. Wydałam mnóstwo pieniędzy. Ale on może nadesłać nowy transport. Zresztą ekspedienci oszukują. Chowają pod ladami.

— Proszę się uspokoić. Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

— Dyżurny milicjant na pewno opowiedział.

Porucznik fachowo ocenił rozmówczynię. Tak, jeśli była wariatką, była to najwspanialsza wariatka, jaką w życiu spotkał. Dobrze określił ją posterunkowy. Pół godziny mu tłumaczyła o jakimś profesorze, który wyrabia szczury ożywiane elektrycznością.

Na różne sposoby biorą się ludzie, żeby trochę grosza zarobić, ale jak taka zabawka może zagrozić jednemu jednemu-człowiekowi, jeśli kupuje ją i używa cała czereda dzieciaków. Coś tu nie klapuje...

— Niech pani streści jeszcze raz wszystko po kolei.

— Przeczytałam kiedyś w gazecie — pochlipywała teraz z rzadka — że ukazały się na rynku po raz pierwszy Zabawki elektroniczne, konstruowane przez pewnego naszego emerytowanego uczonego. Zaraz pojęłam: on to robi, aby mi męża, męża...

— "Co mąż pani miał wspólnego z tym uczoneym? Zna pani nazwisko konstruktora zabawek?"

Nerwowo rozpinała torebkę, wyjęła dowód osobisty.

— Proszę. Tak się nazywa.

Machinalnie odebrał dowód i uważnie obejrzał. Dorota Skierska urodzona w — nieważne — ale wygląda jeszcze młodziej, niż wskazują jej lata. Z zawodu — inżynier elektromechanik.

— Pani pracuje?

— Pracowałam. Wtedy, gdy to wszystko się zaczęło, pracowałam, ale teraz już w domu. Gospodarstwo. Co to ma...

— Nic, tak tylko pytam. Aha, aha. Jest pani rozwiedziona. Poprzednie nazwisko Glasuro, trochę oryginalne nazwisko.

— On się właśnie tak nazywa. — Ach, profesor. Pani jest jego...

— Byłam jego żoną. A co do nazwiska. On pochodzi z rodziny sycylijskiej, która jakimś sposobem przeniosła się kiedyś do naszego kraju. Stąd te ohydne, obce nam tradycje wendety.

— Wendety?

Jerzy Berda był naprawdę zdziwiony. Ostatecznie nie się nie stano, gdyby chodziło o jakieś prawdziwe zagrożenie, la piękna histeryczka wykrzyczałaby zaraz na początku, na czym ono miałoby polegać. Przyzwyczał się jednakże do wysłuchiwania melodramatycznych opowieści, mitycznych zagrożeń, relacji o nie popełnionych zbrodniach.

— Wendety? — powtórzył pytanie. — Słucham pani jak na spowiedzi.

— Pan raczy sobie ze mnie. żartować, a ja przybiegłam tu po pomoc.

— Oczywiście, postaram się pani pomóc, proszę mówić dalej. Ja wcale nie żartuję. Proszę, niech pani mówi.

— Byłam najpierw asystentką profesora Glasury. Już przeszło dziesięć lat od tego czasu minęło. Zmieniłam się.

Przerwała, jak gdyby zamyśliła się nad tymi zmianami, które w niej zaszły, a przy tym nagle uśmiechnęła się pół zalotnie, pół z zażenowaniem. Berda oniemiał z zachwytu. Było tyle słodczy w jej uśmiechu, w jej spojrzeniu skośnym, rzucanym spod długich rzęs.

Każdego mogłaby wciągnąć w rozgrywkę o siebie — pomyślał.

I w tym momencie po raz pierwszy zaczął mimo woli wierzyć, że tej kobiecie coś grozi. Jej uroda działała na ludzi; Dorota roztaczała wokół siebie atmosferę czaru, radości, szczęścia, rozpaczy. W jej otoczeniu i przez nią wszystko stawało się między ludźmi możliwe.

— Przepraszam — powiedział do niej, a do stojącego na baczność posterunkowego, którego wezwał skinieniem — proszę, zawołajcie sierżanta Pęka. Coś sobie przypominam — dodał.

Ale ona nie dosłyszała. Powiedziała:

—Byłam-więc asystentką Glasury. a on wówczas pracował nad budową komputera nowego typu, pan się orientuje, o jakie urządzenia tu chodzi.

— Czytałem trochę o komputerach — -odparł krótko, zażenowany zarówno swoją ograniczoną wiedzą w tej materii, jak i jej niezwykłą, wspaniałą kobiecością. Teraz, gdy otarła Izy, wyglądała drażniąco i nie--pokojąco, jak gdyby świat został dla niej zbudowany i musiał się jej poddać, czy ktoś tego chce, czy nie chce.

Nigdy się z taką nie zetknąłem — pomyślał jeszcze Berda.

— Komputery to naprawdę ciągle jeszcze bardzo, bardzo dziwne i niepokojące urządzenia. Przestrzegaj przed nimi twórca cybernetyki Wiener. Obawiam się, że nie tylko nauka i przemysł będą miały z komputerami coraz więcej do czynienia. One staną się także groźniejsze od żywych przestępców. Taki mózdek elektroniczny ma swój program działania. Może on polegać na umiejętności błyskawicznych obliczeń, ihoże też wykonywać całkiem inne zadania. Glasuro mi mówił, że buduje właśnie komputery, które same się uczą. Wystarczy im wskazać jakiś cel, a one już same dostosowują swoje postępowanie do postawionych im wymagań. Rozumie pan, co to znaczy? Można powiedzieć istocie zaopatrzonej w taki system komputerowy, żeby kogoś zabiła, a ona sama dojdzie do tego, jak to zrobić. Człowiek czuje — mówiła coraz bardziej nerwowo jak gdyby do siebie — czuje i może się zawahać, w ostatecznym momencie potrafi się cofnąć. Wie pan dobrze, co to znaczy współczuć, na pewno pan wie. A komputer nie współczuje, działa bez błędu i bez obłądu, bez ludzkich wahań i względów. Rozumie pan? Co zresztą będę tłumaczyć. Tego się boję. Proszę spojrzeć.

Wydobyła z kieszeni trencza małego szurka.

— To ma być groźne?

Postawiła zwierzątko na biurku. Porucznikowi Berdzie przyzwyczajonemu do różnych rekwizytów, zrobiło się głupio. Czegoś podobnego nigdy tutaj nie miał.

Dmuchiła silnie między wypukłe oczka, aż kartki protokołów rozleciały się po ziemi. Berda schylił się po nie. Spotkał się natychmiast ze szurkiem, który już się zdążył znaleźć na podłodze i biegał jak szalony wokół stołowej nogi.

— Szurku do mnie! — To „szurku” brzmiało z wielką nienawiścią. — Do mnie! — rozkazała.

Zwierzątko po spodniach, marynarce i rękawie porucznika błyskawicznie wdrapało się na blat biurka i podeszło do jej torebki.

— Widzi pan.

— Nadzwyczajna zabawka. Takich się jeszcze nigdy nie produkowało, ale gdzie tu niebezpieczeństwo ?

— Pozornie nie da się tego bydlaka na nikogo poszczuć. To tak jakby się nie znało zaklęcia z bajki. Takiego „Sezame, otwórz się”...

— Sama pani mówi, że to bajka

— Tak, bajka.

— Ależ on je robi specjalnie. W jednym tylko celu. Zapowiedział mi to. Szurku, zejdz ze stołu!

Bez namysłu zwierzątko wybrało znowu drogę najwygodniejszą i zarazem najkrótszą: poprzez wyciągnięte ramię, mundur i kolano oficera.

— Wybrał najlepszą drogę. Widzi pan sam. On się uczy. Sam się uczy.

— Możliwe, możliwe. — Berda poczuł się znowu nieswojo. Nie z powodu zabawki. Twarz kobiety wykrzywiła się nienawiścią, oczy niemal wyskakiwały z orbit, czerwone, półprzysłone. Zmieniała się niespodziewanie z piękności przedzierzgnęła się w potwora. Była brzydka, odpychająca, nie do zniesienia.

— Mówi pani, że Glasuro specjalnie robi przeciw pani te szurki. Dlaczego ten profesor?

— Byłam jego żoną, byłam z nim. To wystarczy. Znam go. Robił doświadczenia z takimi bestiami. Miał manię na punkcie szurków. Groził mi. Zagroził i zawsze dotrzymywał słowa. Więc gdy ostatnio usłyszałam, przeczytałam, gdy wreszcie zobaczyłam, że... się coś takiego ukazało, poszłam sprawdzić — jestem pewna, jestem pewna.

— Zbadam to.

— Błagam, niech go pan ratuje, potem może być już za późno, wszystkich tych bestii nie wykupię i nie pozabijam. Choć próbuję to robić. Niech go pan ratuje!

Wyobraził sobie tę piękność zabijającą szurka. Paskudztwo. W co ona nas wciąga? — pomyślał.

— Kogo mam właściwie ratować i w jaki sposób? — zawołał niecierpliwie.

Zaczęła się opowieść. Szybka, nerwowa, przerywana nagłymi uśmiechami lub atakami płaczu. Znowu twarz to jaśniała, to stawała się chmurna. Nęciła i odpychała. Historia była banalna, opowiadana w wielkim, tak wielkim skrócie, że aż śmiesznie prymitywna- Często wyczuwało 6ię w niej mielizny, miejsca grubo szyte lub wręcz kłamlliwe. Prawdziwy był tylko strach kobiety, jej szaleńcza miłość do młodszego od niej o kilka lat mężczyzny.

Glasuro nienawidzi mego męża, tak, mego drugiego męża — dodała prędko. — Zawsze, od początku zamęczał mnie swoją obrzydliwą, nieuzasadnioną zazdrością. Co ja przeszłam! Bił mnie, kiedy tylko miałam ochotę na jakąś rozrywkę. Odsunął ode mnie przyjaciół i znajomych, Swoich też. Starał się mnie poniżyć, zmienić w niewolnicę. Kulturalny uczony. Ooo, kulturalny i grzeczny to on był dla obcych, w pracy. W zakładzie u Glasury poznałam przypadkowo mego obecnego męża. I... potem uciekliśmy. Próbował wszelkich sposobów, żebym do niego wróciła. Napastował, groził, prosił. Nienawidziłam go. Ukrywaliśmy się przed jego zemstą. Znienawidziłam go, bo nie ma w nim ani jednego ludzkiego odruchu. Najpierw żył dla swych badań. Mnie traktował jako jedną z ciekawszych zabawek, jak... szczurka. Tak, on jest wyrafinowany. Taka zemsta elektroniczna byłaby bardzo w jego stylu. Powiedział mi zresztą: „gdyby ktoś mi ciebie odebrał albo zniszczył moją pracę, popełniłbym zbrodnię, ale nie taką zwykłą jak inni śmiertelnicy, mam lepsze sposoby”. Później, po naszej ucieczce powtórzono mi, że przysiągł: „rozłączę ich, nie będą razem”. Uciekaliśmy najpierw z miasta do miasta. Wreszcie musieliśmy wrócić i odkryto nas.

— Domysły. Nikogo za to aresztować nie można. Zwyczajne domysły i nerwy rozstrojone. Przecież chyba pani zna się trochę na takich urządzeniach. W dowodzie ma pani napisane zawód — inżynier elektromechanik. Próbowwała pani badać tego szczurka?

— Nic nie wyszło.

— Nie rozumiem.

— Zwierzątko ma napisane, że się samo uczy drogi i jest posłuszne takim to a takim rozkazom. Nie da się, jednak sprawdzić, jakie dodatkowe zadanie jeszcze otrzymało. Pojmuje pan? Nie da się, bo nie znam, bo nikt nie zna szyfru zawartego w jego programie. Rozbierałam tę bestię na najdrobniejsze części. Program ma dość obszerny. Na pewno szerszy od wypisanego w prospekcie. I jeszcze jedno, dałam...

Wyprężony meldował się sierżant Pęk.

— Wyście byli kiedyś u niejakiego profesora Glasuro, prawda? W meldunku, zdaje się z 23, donieśliście o hałasach w kamienicy przy Straszewskiego 87. No, byliście u tego Glasuro?

— U tego, przepraszam, wariata ze szczurami?

Kobieta krzyknęła, odwróciła się do milicjanta. Chwyciła za pasek na ramieniu.

— Powiedz pan, coś zauważył w jego pokoju. Co uderzyło w oczy?

Pęk zastanawiał się.

— Mówcie — nalegał porucznik.

— Szczurek — odparł — i to, że profesor taki obdarty.

— Nic więcej?

— Tam nic w pokoju nie ma. Barłóg na ziemi leży. Za tym jasne laboratorium, w którym robi swoje szczurki. Jeszcze widziałem wielkie zdjęcie na sztalugach.

— Co na zdjęciu?

— Mężczyzna jakiś. Może on sobie swój portret z młodości postawił.

Kobieta krzyknęła gwałtownie do porucznika:

— Błagam, błagam pana. Niech pan TAM pójdzie. Proszę wziąć to i porównać.

— Co to jest?

— Moje zdjęcie z mężem, gdyśmy od NIEGO uciekli.

4

— Ile właściwie ma pan lat, profesorze?

Stary człowiek pociągnął dłonią po zmarszczkach, zagłębił palce w siwych włosach. Porucznik Berda dojrzał ręce szczupłe, żyłaste. Wystawały z poszarpanego rękawa jak dłonie szkieletu. Siedzieli w śmiesznej pozycji na barłogu na ziemi.

— Cz y to znaczy że mam panu pokazać dowód? O, jestem grubo młodszy niż pan sądzi. Na ile wyglądam?

— Sześćdziesiątkę bym panu dał.

— He, he — zaśmiał się nieprzyjemnie. — Chciał pan powiedzieć siedemdziesiątkę i dla grzeczności zjechał pan dziesięć lat w dół. Mam pięćdziesiąt z hakiem.

— Niemożliwe — wyrwało się porucznikowi. Pożałował tych słów i dodał prędko. — Rusza się profesor co prawda jak młody człowiek.

— No, no — stary wyczuł skrepowanie gościa, jego litość, uzyskał przewagę w rozmowie. Szybko wstał z barłogu. — Co jeszcze pragnął by pan wiedzieć?

Teraz dopiero porucznik wskazał fotografię. Dotychczas udawał że jej nie dostrzega. Zdjęcie było złe lub zrobione w niedobrej chwili: trudno było na nim rozpoznać kobietę, która wokół sprawy szurków elektronicznych rozpętała niepotrzebną awanturę. Od biedy jedynie mogła za nią uchodzić. Obok stał bardzo młody i elegancki mężczyzna o kwadratowej twarzy sportowca.

— Czy istnieje zakaz trzymania zdjęć pamiątkowych, rodzinnych? Po co o takie rzeczy pytać, po co rozdrapywać rany? Widzisz, człowieku, że nic tu nie mam oprócz małego laboratorium, które pokazywałem ze wszystkimi urządzeniami, oprócz tego barłogu i fotografii.

Milczeli obaj chwilę. Porucznik był zadowolony, że starego poruszyła tak bardzo kwestia zdjęcia.

Jest szerszy niż przypuszczałem — pomyślał.

— Mógłbym nie opowiadać — przerwał ciszę lekko drżący głos, -profesor schylił głowę.

Porucznik zastanowił się, czy ten człowiek powie tylko to, co sobie z góry ułożył, czy ulegnie emocjom.

— Tak, ja panu właśnie opowiem. Czasem się trzeba komuś zwierzyć, choćby milicjantowi. Rzadko rozmawiam z ludźmi. — Zmienił ton, bardzo łagodnie wtrącił:

— Proszę nie sądzić, że zna pan dobrze ludzi. Jesteś zarozumiały, młody człowieku. Tak, nie zaprzeczaj- Mówię, bo mi się zachciało gadać. Byłem na drodze do kolosalnej kariery. Pomijam dobra. materialne, chociaż wtedy przywiązywałem do nich znacznie większą wagę niż obecnie. Miałem samochód, który bardzo lubiłem prowadzić, piękne mieszkanie, stanowisko. Zbyt dużo dla samotnego. Rosła moja sława. Konstruowałem maszyny elektroniczne. Mówiono, - iż je kochałem nad życie. Początkowo robiłem takie do szybkiego liczenia. Polem zająłem się problemem maszyn kulturalnych. To komputery inne, które potrafią na przykład komponować pieśni, grać biegle w szachy, stawiać trafne diagnozy lekarskie. Zbudowałem... ech, na cóż ja tłumaczę. I tak przeszłość bezpowrotna. Nie ma znaczenia.

— Dlaczego, ciekawe — zdawkowo powiedział porucznik.

Czekał na zwierzenia bardziej osobiste. Interesujące, jak będą wyglądać na tle zeznań jego byłej żony. Im więcej suchych faktów ten stary podaje, tym bardziej ucieka od swej wewnętrznej prawdy. Chce zmylić trop?

— Nie na to pan czeka, poruczniku.

— Być może.

— Mniejsza o pana. Teraz się zacznie melodramat. Człowiek musi się w życiu trochę ośmieszyć wobec innych. Doskonałą zabawą dla bliźnich, zanudziłoby się inaczej. Przyjąłem asystentkę. Nie była na pewno zanadto utalentowana, za to najciekawsza dla mnie z tych, co się zgłosiły. Powiedziałem sobie: masz wszystko, będziesz miał KOGOŚ. Gdy się robi karierę, o przyjaciół coraz trudniej. Nieprawda, że ludzie lgną do gościa, który ma powodzenie. Przeciwnie, odwracają się od niego, szkodzą na każdym kroku. Impomowałem jej, chyba dlatego wyszła za mnie. Zresztą wyglądałem trochę inaczej niż dziś. Od pierwszego dnia małżeństwa nie miałem spokoju.

— Zazdrość? — spytał bezczelnie porucznik.

Nie wywołał oburzenia, na które liczył. Profesor opowiadał o byłej żonie głosem opanowanym, rzeczowo, czasem się nawet śmiał i mrużył porozumiewawczo lewe oko. Co naprawdę myślał?

— Przyłapałem ją dziesiątki razy na schadzkach z asystentami. Nie bardzo się mną kępowała. Zazdrość, powiada pan. Wiedziałem, żeśmy się nie dobrali, tym bardziej starałem się ją zatrzymać. Zacząłem dbać o rozrywki, to sporo kosztowało, a pieniędzy nie starczało na inne potrzeby. Banalna historyjka. Miałem w administracji pupila. Ukradł gdzieś coś kiedyś, przesiedział w więzieniu, wyciągnąłem go z tarapatów. Wszystko mnie zawdzięczał. O, widzi go pan tu — wskazał zdjęcie — sportowy typ, -tacy się podobają. Może i słusznie. Są bardziej życiowi. Żeby odciągnąć ją od innych, zapraszałem .go do domu. Szybko poznałem swój błąd.

— Wtedy rozwiedliście się?

— Nie. Usiłowałem przetrzymać ciężki okres. Nie przeczę, że dochodziło czasem do piekielnych awantur. W końcu machnąłem ręką. Myślałem, że jej to przejdzie. Mój Boże, czasami bywała czuła. Odrobina sympatii czy litości dla mnie pozostała. On zachowywał się natomiast bezczelnie. Ciągłe wszczynał rozmowy o rozwodzie, namawiał do zostawienia mnie W imię ich miłości. He, he, przy mnie się odważał! Raz rzuciłem się na niego. Śmieszne, prawda? Położył mnie z dziecinną łatwością. I wcale jeszcze nie ode-

szli. Co to było za życie, szkoda gadać! Zaniedbałem badania. Stałem się pośmiewiskiem całego instytutu. W końcu pod byle pretekstem splawiono mnie. To się stało po wypadku, jakiemu uległem podczas pracy. Zatruliem się chemikaliami. Strasznie chorowałem. I po karierze! Jemu natomiast powodziło się coraz lepiej. Nie obyło się bez wpływów, bez jej wpływów. Traktowała go zawsze jak chłopaczka, któremu trzeba opiekuńki! Staralem się później za wszelką cenę odzyskać przynajmniej równowagę materialną. Przyszedł w końcu pomysł tych zabawek. Szczurki właśnie.

— Dlaczego akurat szczurki?

— Takie samo idiotyczne pytanie zadano mi w firmie. Jakbym robił małpki, pytałby się pan, czemu małpki. Rozsyłałem zabawki do wytwórni na całym świecie, wykorzystując swe znane nazwisko. Były za mądre, za mało praktyczne, żeby je masowo kupowano. Z tego można, jak widzisz, poruczniku, zaledwie wegetować.

— A czy te zwierzątka, czy one...

— No, wyjąkaj pan. Czy nie mogą być niebezpieczne? Dla kogo, pytam? Wiem; wiem. ONA tu pana przysłała. Boi się? Co? Bardzo się boi!

Zerwał się znowu z barłogu i krążył po pokoju. Podchodził kilkakrotnie do zdjęcia. Odwrócił się do porucznika.

— Nic więcej nie mam panu do powiedzenia — zawahał się — chyba jeszcze to, i że oni, zanim uciekli i zatarli za sobą ślady, długo ze mną mieszkali, wystarczająco długo. Pan mnie rozumie? Żegnam. a jak nie wierzycie, badajcie.

Porucznik prędko się pożegnał, zszedł na dół. Na ulicy spojrzał ku trzeciemu piętru. W oknie ledwo pobłyskiwało światło. Rozważał: albo wdał się w kretyńską, prywatną sprawę, jakich tysiące, albo ten typ jest wariatem, pragnącym uderzyć chytrze i wyrafinowanie bez względu na konsekwencje. Tylko że profesor nie robił wrażenia szaleńca. Ogromnie trzeźwy. Czyżby się za tym kryła jakaś głębsza tajemnica, jakieś inne rozwiązanie sprawy? Już wydało się porucznikowi, że poczyna chwycić wątek nowy, zaskakujący. Wytrąciło go z zamyślenia auto. Zorientował się, że stoi pośrodku jezdni, a przed nim zatrzymany gwałtownie wóz bije pełnymi światłami. Przeprosił klnącego kierowcę, podszedł machinalnie do kiosku, poprosił o wieczorną gazetę.

Na pierwszej stronie czerwonym drukiem: „Nowa ucieczka zabawek ze sklepów”.

Jan szedł powoli rozkoszując się piękną pogodą. Słońce było jeszcze wysoko i grzało, choć liście drzew mocno już pozółkły. Przeszedł ulicę, przeciął trawnik wyjątkowo soczyście zielony i wkroczył na ścieżkę.

Biały pałac był stąd niedaleko, minął jego lśniące mury i kierował "się ku skarpie, za którą nisko w dole płynęła Wisła.

Oddychał pełną piersią. Jakże dawno nie pozwalał już sobie na takie spacerzy.

Dorota zamieniła ich wspólne życie w więzienie z powodu tych idiotycznych szcurek. Ulegał jej, a gdzieś w głębi tkwiło poczucie winy wobec starzejącego się profesora. Przypominał sobie jego twarz chudą, spiczastą. Pamiętał też, jak kurczyła ją nienawiść.

„Zobaczysz, co z wami zrobię”. Dobrze zapamiętał te słowa. Wiedział, że profesor nigdy nie rzuca słów na wiatr. Małomówny, niechętnie, zawsze z pełną odpowiedzialnością wyrzucał z siebie krótkie słowa lub lapidarne zdania.

Jan pól pod świadomie, może było to pod wpływem Doroty, czuł zabobonny niemal strach przed profesorem. Nie chcąc za żadną cenę dać wiary diabelskiej niemal potędze zabawek elektronicznych, mimo woli przenosił swój strach przed profesorem na te sztuczne zwierzątka.

Świeciło jednak ciepłe jesienne słońce. Babie lato rozsnuwało swoje pajęczki nici. a on szedł i myślał, że to, co przeżywa, to przez Dorotę i drżał na myśl o niej pełen wielkiej miłości. Równocześnie jednak budziła się w nim niechęć za to, że musiał, tak, musiał jej słuchać, jak mały chłopiec słucha matki. Była starsza od niego, piękna, pełna seksu.

Dlaczego czuję tę niechęć? — myślał — przecież podporządkowuję" się jej dobrowolnie. Dla naszego dobra. .

Złapał się na tym, że w myślach powtarza jej sformułowania. W gruncie rzeczy wymknął się pod jej nieobecność s domu jak sztabak. Właśnie jak sztabak, i jak sztabakowi było mu wstyd tej ucieczki.

Czuł się winny. I choć słońce tak pięknie przygrzewało, a Wisła błyszczała odbitym, nierealnym blaskiem, skłaniał tam siebie do powrotu. Walczył ze sobą, i szedł dalej wśród drzew i krzewów.

— Do diabła ze szcurekami!

I właśnie w tym momencie, gdy to być może nawet głośno wypowiedział, zobaczył połyskujące szcurek ciało I dwoje oczu wbitych w siebie nieruchomo z hipnotyczną wprost siłą. Nie namyślał się. Odżyło w nim wszystko, co najgorsze, wszystkie złe przeczucia i ostrzeżenia Doroty, strach przed profesorem. Odwrócił się w kierunku ulicy I zaczął biec, panicznie, na oślep, potykając się o krzewy, obawiając się, żeby się nie przewrócić.

Obejrzał się ukradkiem. Nikt na jego bieg nie zwracał uwagi, było pusto. Tylko w oddali przed pałacem bawiły się dzieci.

Szcurek był tuż, tuż. Sunął zręcznie wymijając przeszkody, jeszcze moment... Jan przyspieszył.

Znowu się obejrzał. Czuł, jak mu strach zapiera oddech, jak świszczę powietrze wchłaniane gwałtownie w rozwarte jakby do krzyku usta. Biegł coraz szybciej. Szcurek, zdaje się nie potrafił za nim nadążyć. Został nieco w tyle. Zniknął. Zaplątał się widać trawie lub w gęstniejących w tym miejscu krzakach.

Muszę choć na sekundę stanąć, odpocząć, bo padnę — pomyślał. Nie widział już słońca, nie czuł ciepła, skronie pulsowały mu, jakby uderzane falami gorących podmuchów, nie widział trawy ani drzew, dzieci ani dorosłych. Jedyńm jego marzeniem było chwilę odpocząć i wydostać się na ulicę. Stamtąd był tylko jeden krok do domu. Dorota już pewnie wróciła, już szaleje z rozpaczy.

Przeraził się, że nie zobaczy jej już nigdy. Włosy stanęły mu na głowie. Rozpacz i przerażenie. Poczł fale dreszczy przebiegające po ciele. Ociekał potem.

I znowu to zwierzątko — już prawie przy nim. Zanim zdążył sobie uzmysłwić jego bliskość — skończył, znowu szalenie potykał się o krzaki. Rękoma bił powietrze, dyszał, dyszał, dyszał. Stracił całkiem poczucie rzeczywistości. Nie wiedział już czy stoi, czy biegnie, czy milczy, czy krzyczy. Być może krzyczał wielkim, zrozpaczonym głosem.

Dopiero gdy wbiegł na jezdnię między rozpędzone samochody, uświadomił sobie nowe niebezpieczeństwo. Ale się nie zatrzymał. Wozy hamowały z potężnym świstem trących o asfalt opon. Rozległy się klaksony. Na przeciwległym chodniku, kiedy go wreszcie osiągnął, już napotkał tłum przerażony i wrogi.

— Co robisz, człowieku?

— Szaleniec!

— Zwariował.

— Ucieka przed kimś. Łapać go!

Wyrwał się tym, którzy chcieli go osaczyć, z siłą, jakiej sam się po sobie nie spodziewał. Za plecami tłum znowu się obejrzał. Szczurka nie było.

Stanął.

Oddychał ciężko, łapał powietrze ostatkiem sił. W przerwie między rozchodzącymi się ludźmi dojrzał na samym środku, jezdni rozwalone kawałki błyszczącego szczurka, mordka tkwiła oddzielnie spłaszczona, metalowa skorupka, z jednym tylko okiem.

Znowu naszła go fala panicznego przerażenia.

Dwoma skokami znalazł się w bramie. Biegł po schodach dziwiąc się, że wystarcza mu jeszcze sił.

— Paść mogę dopiero tam na górze. U nas.

Nie wydobyl klucza z kieszeni. Jedyne, na który zamknął tylko jeden spośród pięciu zamków. Pochwycił klamkę, jakby wiedział, że drzwi są otwarte. Prawie je wyrwał uderzeniem swego ciała. W przedpokoju — rześisto światło elektryczne. Do-rot. Jej wielka rozpacz, przemieniająca się w wielką radość.

— Jak mogłeś, jak mogłeś. Myślałam, że już nigdy...

— Ja też tak pomyślałem — odpowiedział ciągle okropnie zdyszany.

Zwolniła go z uścisku. Ryglowała drzwi, zapędzała go do gabinetu, znowu ryglowała drzwi, sprawdzała okna i okiennice.

— Widziałaś? — zapytał. Był pewny, że wszystko widziała czy przeczuła. Podziwiał zawsze jej nadzwyczajną intuicję.

— Widziałam. Przez okno. Stałam w oknie. Czułam, że mogę być potrzebna. I... byłam bezsilna. —
Głos jej się załamał.

— Widziałas — powtórzył, mając .w wyobraźni tylko to jedno: rozplaszczone ciało szczurka, cze-
rep jego łba i to jedno oko.

Zrozumiała. Odsuwała od siebie tę scenę, nie chciała już więcej o niej myśleć, wracać do niej. Ale
wyobraźnia była silniejsza.

Zobaczyła z okna uciekającego Jana. rzuciła się wtedy do drzwi, otworzyła je, zrozumiała, że on
ucieka do domu. Bała się, aby mu nie przeszkodzić na schodach czy na ulicy. Dlatego nie wybiegła naprze-
ciw. Czuta, że nie zdąży- Sadził wielkimi susami przez trawnik potknął się o ławkę, minął ją, wpadł na uli-
cę.

Wróciła od otwartych drzwi, stała teraz nieprzerwanie w oknie, żeby widzieć. Wszystko, co się dzie-
je i co się będzie dziać. Spozregła od razu szczurka, był bardzo blisko, potem zniknął za krzakami, gdy Jan
dobiegał już do chodnika.

Widziała, jak Jan przystanął. „Naprzód, naprzód” — wołała głośno przez otwarte okno, choć nie mia-
ła najmniejszej szansy, by ją dosłyszał w ruchu ulicznym na tę odległość.

Przypomniała sobie, że woła do Jana „naprzód, naprzód” tak samo, jak profesor wołał do szczurka.
Wiedziała, że tak zawsze wołał do tych przeklętych elektronicznych zwierzątek.

I oto „śmierć z małymi ząbkami”, tak nazwała to małe zręczne bydlę sterowane przez komputer, była
znowu za Janem. Zrozumiała. Za ułamek sekundy szczurek wykona skok, przyczepi się do ubrania Jana,
spokojnie wpełźnie mu pod samą szyję i...

Kiedy wbiegł między samochody, wrzasnęła w przestrachu. Szaleńcy mają jednak szczęście — po-
myślała. I w tym momencie właśnie zobaczyła, jak zielony ził rozwała kołem szczurka, jak rozruca jego
cząstki pośrodku ulicy. Potem krótka walka Jana z tłumem, dudnienie kroków po schodach.

Wściekłość i ulga. ulga i wściekłość.

— Teraz pojmujesz, czego on od nas chce, kogo szuka? — powiedziała już spokojniej. I histerycz-
nie; — Nie zbliżaj się do drzwi, błagam cię. Nie rozumiesz ciągle, czym to grozi?

Patrzyła na Jana, jakby za chwilę miał zniknąć. Nie spała w nocy ani minuty i pod oczami miała głą-
bokie cienie. Wyglądała gorzej niż zwykle. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak się zmieniła od czasu, kie-
dy się pobrali. Ale jej troskliwość sprawiała mu ciągle przyjemność. Życie pozbawiało ich chwilami czulo-
ści. Dopiero niebezpieczeństwo podnieciło miłość.

— Nie mogę przecież siedzieć w domu jak w kryminale. Mam tu zginąć? Z czego będziemy w końcu
żyli? Nie bądź wariatką.

— Ty lego absolutnie nie rozumiesz? Nie wierzę ci! Grasz przede mną odważnego. Sam mówiłeś:
„to nie przypadek, że te szczury rozbiegły się po mieście”. Nam nie pomoże żadna milicja, żadne śledztwo.
Nic mu teraz nie udowodnią. Nie. On się już zabezpieczył, ten stary diabeł.

— Stałby się mordercą. Łatwo by mu było winę udowodnić.

— Udowodnić? Te bestie, które zdołałam wykupić i rozebrać, nie wykazują na pozór - nic groźnego. To dziwne, niepokojące. Nie przypuszczasz chyba, żeby rozsyłał za nami szczury dla igraszki po całym kraju.

— Serio przypuszczasz, że chciał, aby na nas trafiły? Żeby ten szczurek mnie...

— Jestem pewna. Na szczęście dotąd dobrze zacierałam ślady. Nie miał przez cały miesiąc pojęcia, gdzieśmy lądowali. Wreszcie przyłapał. Nie wiem, w jaki sposób. Może mnie albo ciebie zobaczył kiedy na ulicy. Pomyśl, dzielą nas od niego zaledwie dwie ulice. A na wyjazd za późno — dokończyła, wpadając w histeryczny szloch.

Objęła go, tuliła się. Przyszło mu na myśl: może to przypadek z tym szczurkiem. Zwykły, głupi, złośliwy zbieg okoliczności.

— Czego ty chcesz od tych zabawek? — powiedział z trochę wymuszonym uśmiechem. — Przede wszystkim dybałby na ciebie. A tyś je w kieszeni przynosiła i nic.

— On może mnie jeszcze kochać.

— Skrzywdziłem go.

— No, wiesz — zawołała obrażona — co ja z nim za życie miałam!

Przypomniał sobie całą ich historię. Zatrząśł się. Przyskoczył do niej, pochwycił brutalnie. Z ciekawością obserwowała jego wykrzywioną twarz.

— Ty, ty zdradziłaś jego i mnie. Pamiętasz — mówił przez zaciśnięte zęby — pamiętasz tego gładkiego oficerka, a potem tego wysokiego w okularach. Co ci się w nim podobało? Mów!

— A ty go osadziłaś. Dałaś mu wtedy w pysk przy wszystkich. Zwinął się niemal w kłębek, choć przerastał cię o głowę — zaśmiała się nagle do wspomnień.

Puścił ją i także zaczął się śmiać. Zadowolona, pocałowała go, Wtem nabrała pewności, że musi go stracić. Szczury biegały po całym mieście. Nikt ich nie łapał. Milicjanci śmiali się, gdy domagała się pogoni. „Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy uganiaли się za zabawkami. Łap pani sama”. Wynajęła małych chłopaczków. Rozproszyli się po sąsiednich ulicach: niczego nie wyśledzili.

— Nie możesz nigdzie wychodzić. Kto wie, czy taki drugi szczur nie czyha na ciebie za drzwiami. Pamiętam jedno z JEGO doświadczeń. Dobrze pamiętam. Zachowywał się dziwnie. Nie, nie — dodała, widząc niedowierzanie w oczach Jana. — To było jeszcze przed naszym poznaniem. Pokazał szczurka, którego dla zabawy sobie skonstruował, powiedział mu „zabij”. Zwierzę rzuciło się na wielką kukłę, nie wiem, skąd taką szmacianą kukłę wytrzasnął, a wtedy on zawołał: „stop”.

— Niemożliwe, żeby taką metodę zastosował.

— Do wszystkiego jest zdolny. Może ryzykować.

— Jak długo żyje, to znaczy działa takie zwierzątko? — pytał Jan.

— Grudziński mówił mi, że trzy dni. Potem trzeba doładować baterię. Odsiedzisz trzy dni i czwarty.

— Widziałaś się z Grudzińskim — znów przyskoczył i potrząsnął nią. — Ty mogłaś, odważyłaś się do niego! Do tego...

— On jeden się na tym zna. Dałam mu do zbadania.

— Powiedziałaś wszystko? I co? Zgodził się? No, zgodził się?!

— Przecież to już dziś całkiem obcy dla mnie człowiek.

— Obcy. On, ten obcy, tak bez słowa zgodził się dla obcej kobiety na badanie zabawki. Ty! — trząsał się ze złości. — To może nas rozłączyć — szepnął. Tak, zdołał to tylko szepnąć nieśmiało.

— Musiałam cię ratować.

Starał się uspokoić. Wmawiał sobie śmieszność tej sytuacji. I sam siebie już nie poznawał. Ta ucieczka przed szczurkiem szarpała mu nerwy. Posiedzi te cztery dni w domu.

— I co po czterech dniach? Toż on tymczasem uruchomi nowe okazy.

Załamala ręce-

— Myślę, cały czas o tym myślę. Zapadał wieczór.

Nie widzieli się już prawic. Z dołu wyskoczyły światła i odbiły się w lustrze. Czekala, aż zaciagnie zasłony. Bała się zapalić lampę przy odsłoniętych oknach. Zdawało się jej, że są nieustannie śledzeni. Na pewno stary orientuje się już doskonale, gdzie mieszkają. Może w każdej chwili przejść te paręset metrów i podłożyć szczurka. Podłożyć go, jak podkłada się bombę.

Żyjemy w świecie, w którym niewinni ludzie giną codziennie od podłożonych bomb, umierają jako zakładnicy awanturników politycznych, jako ofiary porywaczy. Jan myślał o tym świecie z rosnącą grozą. Od tych ostatecznych, a jednak i codziennych spraw zaczął zaraz powracać do jednej jakże uporczywej i drażniącej, która wtrącała go w przepaść.

— Jak ktoś zapuka, nie otwieraj, pamiętaj — mówiła ciągle swoje Dorota.

Drażniło go, że ona go więzi, zaczęło go denerwować, że ona ograniczając mu swobodę sama z niej korzysta, że chodzi tam. dokąd nigdy chodzić nie powinna.

— Pamiętaj — powtórzyła. Wymknął się z jej ramion.

— Dobrze, dobrze, pozwól jednak, że pójde jeszcze do gabinetu trochę popracować.

Gabinetem nazywali jego pokój z niewielkim biurkiem, przy którym próbował od wielu lat bezskutecznie napisać swoją pracę.

— Musisz? — nie chciała go tracić z oczu. Ale on odczuł to jak obręcz na szyi.

— Muszę — odezwał się szorstko — muszę do diaska! A ty się połóż. Wyglądasz już okropnie.

Rzeczywiście wyglądała źle. Znowu ta fala niedobrych myśli o niej. Chodzi tam, dokąd nigdy nie powinna była już chodzić...

Gdy po dwóch godzinach cichutko wsunął się do wielkiego wspólnego łóżka, zauważył, że Dorota ma oczy otwarte. Pocałował ją. potem jeszcze raz. Był tak zmęczony, że niemal zaraz usnął. Dorota nie spała, wpatrywała się w niego, mimo woli porównując go z tymi wszystkimi mężczyznami, którzy twierdzili, że ją kochają, a których ona nie potrafiła tak kochać, jak tego wielkiego, naiwnego chłopca.

Jemu zaś śnił się niewielki, szary szczur. Biegał jak oszalały i szukał, szukał Doroty. W końcu jej dopadł. Morda tego szczura przypominała mu, ach, jak bardzo przypominała twarz Grudzińskiego.

Była to dopiero pierwsza z czterech nocy, które postanowił spędzić w dobrowolnej niewoli, zamknięty, zamurowany przed światem.

6

A jednak doszło do zbrodni,- choć porucznik Jerzy Berda był początkowo pewny, że sprawa z profesorem jest raz na zawsze skończona. Nowa interpretacja postępowania uczonego, która, jak to czasem bywa z błyskotliwymi pomysłami, zrodziła się zaraz po wizycie w profesorskiej norze, poszła natychmiast w zapomnienie.

Ostatecznie nic nowego nie zaszło. Na historycznych podejrzeniach nie można budować oskarżeń. Oddany na wszelki wypadek do analizy w Instytucie Komputerów Przemysłowych szczurek został bardzo dokładnie zbadany.

Porucznik osobiście przyszedł po wynik analizy.

Sekretarka poprosiła go, aby usiadł i chwilę poczekał. Z pismem zlecającym odbiór wyników badania wyszła na korytarz. Instytut był wielki, pełen nie kończących się jak gdyby korytarzy. Kroki sekretarki bardzo długo wystukiwały chwiejny, głośny rytm. Dopiero po kilkunastu minutach zjawiała się w towarzystwie szczupłego, mocno szpakowatego jegomościa.

— Pan docent Grudziński wszystko panu porucznikowi powie.

— Nie tylko powie. Analiza jest przedstawiona również w tym piśmie — powiedział docent, ściskając dłoń porucznika i wręczając mu długą kopertę. — Może język jej zabrzmiał nazbyt fachowo, ale w gruncie rzeczy oznacza to jedno: te szczurki, według naszej opinii, nie powinny być szkodliwe. Nie można nimi też sterować z dalszej odległości. Rozkazów muszą słuchać bezpośrednio z zasięgu głosu rozkazodawcy. To pewne. Może zresztą wejdziemy do gabinetu i powiem panu bardziej szczegółowo, co o nich myślę.

Usiedli w wygodnych klubach.

W tym momencie właśnie porucznik Jerzy Berda uświadomił sobie w pełni różnicę, jaka dzieliła poziom życia starego profesora od jego uczniów i kolegów po fachu. Szaleńcza pasja wciągnęła go na dno. Przyszło mu leż na myśl, że doktor Grudziński jako specjalista od komputerów powinien doskonale znać profesora.

Natychmiast o to zapytał, przerywając tok fachowych wyjaśnień. Wydało mu się, że Grudziński zmieszał się. Przez gładką twarz rozmówcy przebiegł jak gdyby cień, krótki skurcz strachu. Coś w tym rodzaju. Chwila wahania. Potem szybka od-powiedź-

— Owszem, znalazłem go bardzo dobrze. Pan zresztą o tym już pewnie wie? Dlaczego pan pyta? Nie widziałem tego człowieka już dobre dwa lata.

— Nie domyślał się pan, że te szcurki elektroniczne to jego wytwór?

— Szczerze mówiąc, nie miałem o tym pojęcia. Pierwszy raz słyszę. Myślałem, że to po prostu przemysł zabawkarski zaczyna się bawić w komputeryzację i nawet chciałem pochwalić ten pomysł, zwłaszcza że naprawdę niczego zdrożnego w tych zabawkach nie ma. Chciałem także pana jako przedstawiciela władz bezpieczeństwa zapytać, co w ogóle wzbudziło wasze zastrzeżenia?

Porucznik Berda pomyślał w tym momencie: stara się zręcznie pytaniami odwrócić sens naszej rozmowy, skierować ją na inne tory. A może to tylko moja zawodowa podejrzliwość sugeruje tego rodzaju pomysły?

— Co pan sądzi o profesorze? Znal go pan dobrze, pracowaliście razem.

— Przez pewien okres był nawet moim szefem. Zawsze wiedziałem, że to znakomity fachowiec. Te szcurki, choć konstruowane zapewne w bardzo skromnych warunkach laboratoryjnych, noszą cechy pomysłu znakomitego, zrealizowanego wprost, nadzwyczajnie. Dysponują na przykład ciekłymi układami pamięci, które u nas od dawna się bada, ale ciągle tylko się bada. Tu zastosowano po raz pierwszy w praktyce. Taka pamięć mimo niezwykle małej objętości, jaką zajmuje w główce zwierzątka, dysponuje ogromną pojemnością i potrafi się znakomicie przestrajac. Chemikalia, mówiąc w dużym uproszczeniu, są tu tak dobrane, że stanowią doskonały przewodnik bodźców elektrycznych i równocześnie potrafią się błyskawicznie przestrajac. przegrupowywać. Dzięki temu szcurki na pierwszy rzut oka zachowują się jak żywe istoty, reagują podobnie jak zwierzęta na słowa i rozkazy. Uderza także w tej konstrukcji ogromna miniaturyzacja urządzeń odbiorczych i przekaźnikowych, znowu oparta na odpowiedniej kompozycji płynnych chemikaliów. Profesor nie przestał być twórczy, mimo że zerwał z głównym nurtem swojej pracy.

— Pan mówi ciągle o stronie fachowej. A człowiek? Jaki to był, jaki jest ten człowiek?

— Jaki jest teraz, trudno mi powiedzieć, bo jak już to zaznaczyłem, długo, bardzo długo nie widzieliśmy się. Jaki był? Uważa się uczonych za ludzi całkowicie poświęconych badaniom, umiejących realizować tylko zawodowe pasje. Sąd ten o naszym środowisku nie wytrzymuje krytyki. Gdyby się pan dobrze przyjrzał życiu prywatnemu naukowców, dostrzegłby pan tę samą ogromną różnorodność zainteresowań i pasji, jakie obserwuje się w innych środowiskach zawodowych. To sam banał i szmirę — można by złośliwie powiedzieć. Może w naszym środowisku więcej jest pruderii, zakłamania, fałszywego wstydu. Staramy się wszystko ukrywać przed oczami obcych. Czujemy się być może bardziej odpowiedzialni przed społeczeństwem za nasze czyny, stąd te nie najlepsze metody postępowania.

— Więc?

— Pan porucznik ciągle draży. Profesor przeżył po prostu wielką tragedię. Może pan to nazwać melodramatem, jeśli pan woli. To wszystko.

— Chcę wiedzieć — porucznik Jerzy Berda bezpośrednio już począł formułować swoje pytania widząc, że rozmówca stara się robić uniki — chcę wiedzieć, czy pański profesor byłby zdolny do jakichś drastycznych czynów? Dla zemsty, na przykład.

Grudziński znowu się zawahał, zacukał.

Znowu ten nagły cień objął mu twarz. Oznaka strachu?

— Nie sądzę, żeby mógł się mścić w sposób prymitywny.

— A więc wyrafinowanie, z zaskoczenia?

— Tego nie powiedziałem — szybko odparował Grudziński.

— Te szcurki?

— Te szcurki naszym zdaniem, bo nie tylko ja robiłem szczegółowe ich badanie, są zupełnie nieszkodliwe. Program w nich zawarty dotyczy najprostszych funkcji, po prostu słuchają rozkazów, takich jak zwykły pokojowy piesek. Pokojowy, podkreślam to.

Zaczęli się więc żegnać. Grudziński w pewnym momencie, wówczas gdy doszli do analizowania rzekomych możliwości zbrodniczych profesora, rwał zdania, spieszył się ostentacyjnie. Po prostu miał wyraźnie dość całej tej rozmowy.

Porucznik uważał, że spełnił całkowicie swój obowiązek. Miał pismo, które wykluczało niemal całkowicie wszelkie potencjalne zagrożenie dla osób kupujących szcurki. Podobną zresztą analizą dysponowała centrala handlowa, która zdecydowała się na rozproszanie próbnych serii.

Analiza dostarczona centrali przez inną instytucję zajmującą się komputerami brzmiała niemal identycznie. Niemniej jednak szcurki nie cieszyły się powodzeniem w sklepach z zabawkami, a alarmy prasowe o ucieczce tych zabawek ze sklepów zniechęciły do reszty rodziców. Pedagodzy uważali szcurki za zabawki zupełnie niepedagogiczne. Były powieleniem niejako zwierząt, znacznie zresztą od zwierząt prymitywniejsze. Nie nadawały się do rozbierania i składania.

W końcu odpowiedzi udzielonej milicji dyrekcja Centrali Handlu Zabawkami, tak to się oficjalnie nazywało, czy to stwierdzając stan faktyczny, czy też zabezpieczając się na wszelki wypadek, donosiła, że zamierza ograniczyć zakup zabawek elektronicznych od ich wytwórców „już w najbliższym czasie” lub „powierzyć konstrukcję nowych” jakiejś państwowej firmie.

Na wszelki wypadek Berda jeszcze na samym końcu rozmowy zagadnął ponownie:

— Z całą stanowczością twierdzi pan, że to, co robi profesor, jest nieszkodliwe?

— Z tego, co wiemy, co udało się zbadać... — zaczął Grudziński, ale w tym momencie weszła sekretarka.

— Panie docencie — powiedziała — przepraszam bardzo, do pana porucznika jest telefon z komendy.

Berda już był przy aparacie, już chwycił słuchawkę.

— Przed chwilą — powiedział oficer dyżurny — przed chwilą funkcjonariusze z miejscowej jednostki zameldowali, że zginął kierownik działu handlowego centrali zabawkarskiej. Podobno zabójstwo w domu. w jego domu. Przy Szerokiej.

— Dlaczego o tym mówicie mi teraz, przez telefon? — zezłościł się Berda.

— Ponieważ prowadzi pan śledztwo w sprawie szcurków elektronicznych, a tam w pobliżu trupa był właśnie taki szcurek.

A więc to tak, jest jednak trup w tej zabawkowej aferze, która wydawała się laka dziecinnie prosta. Porucznik Jerzy Berda nigdy nie lekceważył żadnej sprawy. Nagromadzenie dziwności było tu jednak od początku zbyt duże, aby myśleć o tej sprawie serio.

Tym razem jednak zaczęło się zupełnie poważnie wszystko mocno komplikować. Szczurki według twierdzenia Grudzińskiego miały być nieszkodliwe. To samo twierdził profesor. To samo inni fachowcy. Trudno posądzić, aby działali wspólnie. Skąd jednak wobec tego wziął się szczurek przy człowieku, który zginął przy Szerokiej? Z jakich przyczyn nastąpiła ta śmierć?

W śródmieściu był o tej porze szczytowy ruch. Ciężko się przebić wozem do zachodnich dzielnic miasta. Zapadał wczesny, przedzimowy zmierzch. Zapalały się światła. Nie po raz pierwszy szczególny urok tej pory klócił się we wrażeniach porucznika z ponurością jego zawodowych czynności. Urok życia i groza niespodziewanej, dramatycznej śmierci, „śmierć z małymi ząbkami”, przypomniało mu się porównanie zasłyszane od Doroty Skierskiej, śmierć, w którą ona wierzyła, a w którą on nie chciał absolutnie uwierzyć.

7

Berda odrzucił prześcieradło, którym przykryło leżącego. Był to mężczyzna mniej więcej w wieku profesora Glasury, twórcy sztucznych szczurków. Widok był odrażający. Głowę oddzielała od reszty ciała szyja kompletnie zmasakrowana i utopiona w zakrzepłej krwi. Szczurek tkwił nieruchomy i nie naruszony tuż obok tej szyi poszarpanej tak okrutnie. Był także ciemnoczerwony od krwi.

Tak nieludzko — pomyślał Berda. I dreszcz go przeszedł na myśl o nowych narzędziach, jakich przestępca używa do niszczenia życia innych ludzi, dla usunięcia kogoś niewygodnego. Przyszło oczywiście natychmiast na myśl porucznikowi i to, że poza oficjalną nauką, poza uspokajającymi jak brom analizami spokojnie informującymi czarno na białym z opieczętowanych kartek papieru, czaiła się tajemnica szczurka elektronicznego.

W programie zadanym zwierzątku, w płynnej masie jego mózgowia musiały być jednak zaszyfrowane ohydne rozkazy. Mimo teoretycznego tylko prawdopodobieństwa takiej technicznej sztuczki budziła ona niemal zabobonny strach. Taki, jakiego pierwotni ludzie musieli doznawać wobec niepojętych sił przyrody. Berdzie wydało się, że rozumie cel — jeden z celów przestępcy. Pragnął nie tylko działać bezwzględnie, pragnął imponować i przerażać jednocześnie. Siac terror. Było w tym wszystkim coś z atmosfery opowiadań Alana Edgara Poeego.

Połykliwe ciało szczurka elektronicznego leżało w zasięgu ręki. Znowu będzie się go musiało oddać do badania, do tego samego instytutu, w te same ręce docenta Grudzińskiego.

Właśnie do Grudzińskiego. Osoba uczonego stawała się w ten sposób postacią węzłową całego dramatu. Wyjaśnienia docenta mogły stworzyć lub obalić legendę elektronicznych szczurków. Już raz obaliły.

Czy warto ją wznawiać? A może szczurek szczurkowi nierówny. Może zabawki różnią się od egzemplarzy groźnych wysyłanych dla spełnienia aktu zemsty? Skąd pewność, że jako narzędzie zbrodni użyty został potworek, spokojnie czekający swojego losu tuż obok denata.

— Proszę mi jak najszybciej zebrać dane personalne denata. Muszę wiedzieć, co się da. Z.....-, coś nowego się stanie! — rozkazał.

Machina milicyjna pracowała bardzo sprawnie. Już po godzinie miał w ręku szczegółowy raport. Czekał tylko na ekspertyzę medycyny sądowej, aby orzekła dokładnie przyczynę zgonu. Zmarły kierownik działu handlowego centrali zabawkarskiej nazywał się Ignacy Siwecki, miał 61 lat, z zawodu był cybernetykiem. Pięć lat wcześniej pracował w Instytucie Cybernetyki Stosowanej razem z profesorem. Profesor usunął go z pracy za jakies zupełnie błahe przewinienie, jakies podobno całkiem drobne zaniedbania. Nastąpił wówczas wyjazd Siweckiego za granicę. Z kartoteki wydziału paszportowego wynikało, że wyjeżdżał do przyjaciół, u których pozostawał przez rok, potem jeszcze przez następny. Przedłużono mu najpierw paszport i wizę, później otrzymał — po wniesieniu do polskiej placówki dyplomatycznej we Włoszech przepiśowego w takich przypadkach podania — paszport konsularny.

Jego kontakty we Włoszech nie budziły żadnych podejrzeń. Po powrocie do kraju dostał się do pracy w centrali właśnie.

Bardzo szybko przebiegł oczyma raport: Umiał czytać błyskawicznie, niejako między wierszami i natychmiast orientował się w ważnych dla śledztwa szczegółach. Niczego ważnego jednak nie spostrzegł, choć raport układali dwaj znakomici fachowcy.

Postanowił wezwać profesora. Kazał go przywieźć natychmiast tu na Szeroką, niby to w celu identyfikacji zwłok.

Glasuro wszedł przed funkcjonariuszem swoim chwiejnym, trochę kocim krokiem. Odsłonięto prześcieradło. Berda kazał je tak odsłonić, aby wzrok uczonego nie mógł natychmiast wykryć przyczyny śmierci.

Wydało się jednak, że profesorowi przyczyna jest zupełnie obojętna, jak zresztą i zgon Siweckiego.

— Tak. to Ignacy Siwecki, znalazem go dobrze — powiedział spokojnie, ale także i trochę uroczyście, jak gdyby miał za chwilę wygłosić przemówienie nad grobem. I dodał: — Przyszła i na niego kryśka. Mało nas już, jak mało.

Była nutka zdziwienia w jego głosie, nic więcej, żadnego żalu.

Gdy Berda wskazał na szurka i odkrył szyję denata, Glasuro zachnął się. Oskoczył nawet do tyłu.

— Co to znaczy? Skąd się to wzięło? — zawołał.

— Właśnie od pana chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć. Przecież pan trochę handlował szurkami z centralą i musiał się nieraz kontaktować z Siweckim. Kiedy go pan widział ostatnio?

— Właśnie wczoraj — odparł, natychmiast całkiem nie speszony — tak, jeszcze wczoraj z nim gadałem.

— Tu, w jego mieszkaniu, wieczorem? Tuż przed śmiercią?

— Ależ skąd, panie poruczniku. Proszę nie starać się nawet wmawiać mi tego. Insynuacje takie nie mają sensu ani uzasadnienia. Owszem, widziałem się z Ignacym, ale nie u niego w domu. lecz w biurze. To jest rzecz do sprawdzenia.

— Dobrze — powiedział Berda. trochę zbity z tropu pewnością profesora. — Niech i tak będzie. Pojedziemy wobec tego na komendę. Tam skonfrontujemy pana profesora z ludźmi z biura Siweckiego. którzy przecież musieli tam pana wczoraj widzieć. To jednak wcale nie wyklucza pańskiej wieczornej, ponownej

wizyty. Śmierć Siweckiego musiała nastąpić około dwudziestej trzeciej, tak wynikało z wstępnego rozeznania lekarza. Co pan robił o tej porze?

— Miałem konflikt — odparł Glasuro. I zawiesił głos.

— Ooo, konflikt, to coś dla nas — powiedział Jerzy Berda. Ale już od razu pojął, iż niczego konkretnego się nie dowie i niczego staremu uczonemu nie udowodni. Jeśli ten człowiek był w ogóle przestępcą, to był przestępcą niezwykle sprytnym, kapitalnie zakamuflowanym.

— Tak. znowu odwiedził mnie w dobranym towarzystwie pan sierżant. Z powodu owych rzekomych hałasów. Dobrze pamiętam, że było to po dziesiątej, przygotowywałem bowiem właśnie jedno z Urządzeń dla swego szczurka. A trwało trochę, bo spisywał protokół do jakiejś jedenastej trzydzieści. Rozumie pan, poruczniku?

— Udaje pan. profesorze. A szczurek? A rany na szyi? Proszę to jeszcze raz odkryć — Berda zwrócił się do funkcjonariuszy, przeszukujących właśnie mieszkanie.

Glasuro spojrzał z ciekawością. Tak. teraz wyraźnie okazywał zaciekawieni. Dlaczego je okazywał, czy też starał się okazywać?

— Przypatrzył się pan? Zakryjcie. Pańskie szczurki okazały się śmiertelne. I cóż pan na to?

Profesor milczał długą chwilę. Oczy jak gdyby uciekły mu gdzieś w głąb twarzy, przymknął powieki. Stał tak zamyślony, wreszcie odezwał się powoli:

— Ach. wydaje mi się. że zaczynam coś pojmować.

— Pańskie szczurki?

— Są na pewno nieszkodliwe. Chyba, że ktoś je uczyni szkodliwymi. Mam wrażenie, że ekspertyza waszej sądowej medycyny nie będzie brzmiała tak jednoznacznie, jak pana oskarżenie w stosunku do tych zwierzątek.

— To tylko ma pan do powiedzenia?

— Proszę sprawdzić moje alibi!

— Ten szczurek jednak jest pański i nie ma alibi.

— To nie jest mój szczurek — powiedział profesor. — Czysty przypadek — dodał — czysty przypadek, że to zwierzątko tkwi tutaj.

— Przypadek? Pan z nas kpi, profesorze.

— Z mojego punktu widzenia to jest przypadek.

— Zatrzymam pana do wyjaśnienia, czy ma pan naprawdę alibi, zbadamy także to zwierzątko.

—Przekonacie się znowu o zaletach moich zabawek. Tak jak ja podczas wczorajszej swojej wizyty u Siweckiego jego starałem się o tych zaletach przekonać.

— Dość kpin!

Uczony zamilkł. W komendzie ludzie z biura Siweckiego — sekretarka dyrektora do spraw naukowych i dwaj urzędnicy centrali, którzy przebywali w sąsiednim pokoju — potwierdzili w pełni zeznania

profesora. Administrator Rogoziński i dozorczyńni Leluchowa również przyznali, że profesor Glasuro mówi prawdę.

Sierżant Pęk zameldował, że ma coś ważnego do powiedzenia. W jednym pokoju maglowano Glasurę krzyżowym ogniem pytań, w drugim Pęk mówił gorączkowo:

— Odkąd byłem tam, u tego wariackiego uczonego, ciągle zwracałem uwagę na jego mieszkanie. Wczoraj hulusy, jak mi powiedział administrator Rogoziński, zaczęły się około dziesiątej wieczorem. Była to ta tresura szczurka, skacz, bierz, weź go — coś w tym rodzaju. Sąsiadów diabli brali. Więc na wezwanie dozorczyńni przyszedłem, dopukałem się po długiej chwili i wszedłem. Ten profesor zaraz cofnął się do tej komórki, którą nazywa laboratorium i dłubał przy jakimś szczurku: otwierał mu mózdzek czy coś w tym rodzaju. Nawet się wzdrygnąłem, bo to sztuczne zwierzę bardzo przypomina żywe, a takie operacje drażnią. Na stoliku koło barłogu były pisma z datami. Ukradkiem, on się nie odwracał, bo był zajęty i nie chciał "nawet słuchać naszych napomnień, niby to pisząc protokół przeczytałem te urzędowe pisma. To była korespondencja z producentami jakichś ważnych elementów elektronicznych. Pisali w odpowiedzi na jego błagalny, tak jest, błagalny list, że nie mogą mu posłać, bo muszą obsłużyć przemysł państwowy znacznie ważniejszy od jego zabawek. Zresztą uważali wytwarzanie tych zabawek za zbędne, niepotrzebne. Nawet było tam napisane słowo „bezsensowne". A na kopii jego listu, listu profesora do nich, znajdującej się pod urzędowym listem, było wyraźnie napisane, że profesor nie może więcej robić tych zabawek, bo nie ma z czego." I wymienione były także zalety szczurków.

— On już nie ma tych swoich szczurków. Jak ostatnim razem byłem w pracowni podczas jego nieobecności...

— Co, przeprowadziliście przeszukanie bez porozumienia?

Pęk stropił się.

— Niech będzie. Musiałbym się i tak do tego przyznać. Niech poniosę odpowiedzialność. Ale, panie poruczniku, tam były wówczas tylko trzy szczurki. Tak samo udało mi się sprawdzić, że tylko trzy były i w czasie tej wieczornej awantury. Te same. Przyszło mi na myśl podczas przeszukania, że warto by je zaznaczyć.

— Czym je znaczyliście?

— Drasnąłem się niby to w palec i pod spodem na brzuszku posmarowałem krwią. Miały to same posmarowania, ukradkiem sprawdziłem, niby to przypadkowo podczas spisywania protokołu.

— Odejdźcie, pogadam z wami później! — rozkazał Berda.

Raport Pęka oznaczałby, że uczonego nie wysłał szczurka do Siweckiego ani go nie podrzucił. Ciekawe. A może podstawił po prostu listy Pękowi czy komukolwiek, kto chciałby oficjalnie, czy na własną rękę, przeprowadzić przeszukanie. To mogło być wyrachowanie. Tak. Jerzy Berda wsłuchiwał się przez chwilę, jak przez uchylone drzwi padają ostre, szybkie pytania przesłuchującego i równie szybkie riposty uczonego.

Kazał jednak Glasurę zwolnić i przeprosić.

Nazajutrz rano wysłał swego zastępcę do docenta Grudzińskiego do instytutu. Docent w ogóle nie chciał o szczurkach rozmawiać, nie przyjął do badania egzemplarza znalezionej w domu Siweckiego, który to egzemplarz został właśnie odesłany z medycyny sądowej.

— To zawracanie głowy — powiedział — zwykle zawracanie głowy. W tych zwierzątkach po prostu nie ma ani za grosz potwora. Rozumiecie. Gazety napisały o tej zbrodni czystą bzdurę. Zresztą, czy myślicie, że w instytucie nie mamy innych spraw na głowie tylko kryminologiczne badania?

Bardzo późno po południu nadeszło orzeczenie z oddziału medycyny sądowej. Porucznik Berda przeczytał je i natychmiast po przeczytaniu połączył się z lekarzem.

— Dziwny ten wasz wynik — powiedział. — Jak to możliwe, że nie macie pewności?

— A jednak to prawda. — Lekarz wyjaśniał spokojnie i rzeczowo. — Sekcję

Siweckiego zrobiono na drugi dzień w południe, a on umarł chyba koło jedenastej wieczorem dnia poprzedniego. Nie możemy więc z pewnością stwierdzić, czy bezpośrednią przyczyną śmierci był zawał serca spowodowany na przykład przerażeniem lub nadużyciem alkoholu {a on tego wieczoru wypił za wiele), czy też pogryzienie przez szczurka. Pogryzienie było typowo zwierzęce, tak gryzą dzikie zwierzęta. Na ciałku szczurka nie wykryliśmy żadnych śladów oprócz krwi denata. Faktycznie sprawa jest dziwna. Spróbujemy badać ją dalej.

Berda postanowił jeszcze raz pójść do Grudzińskiego. Grudziński — rozumował porucznik — jest teraz człowiekiem, wokół którego koncentrują się wszystkie nici tej sprawy. Krążymy dokoła niego i krążymy, a on jest nieuchwytny. Wymyka się, wyslizguje. Rany mógł zadać szczurek. A więc twierdzenie profesora Glasury o nieszkodliwości wygląda na równie kłamliwie, co orzeczenie podpisane przez Grudzińskiego. Obydwaj bohaterowie dramatu musieli się znać, obydwaj na pewno znali Siweckiego. Co robił Grudziński w ten wieczór, gdy zginął jego dawny kolega, Siwecki? Czy ma takie samo murowane alibi jak stary profesor? I jeszcze jedno, czy szczurka można puszczać z dużej odległości, czy to prawda, o czym mówi przez telefon rozhisteryzowana Dorota, była żona Glasury, iż szczurek gonił ulicą jej drugiego męża?

— Panie poruczniku — wołała potem przez telefon — pan rozumie, co to znaczy. On już jest nie tylko na naszym tropie, on już działa. Już wysłała to swoje potworne wojsko. Jestem pewna, że wówczas, gdy szczurek gonił Jana, z okna widziałam przemykającego się wśród krzaków Glasurę

— Jest pani tego pewna?

Poczuł lekkie wahanie w jej głosie. Kłamała.

— Jestem pewna — powiedziała. — Aresztujcie go.

Gdy tak rozmyślał, wszedł znowu sierżant Pęk.

— Panie poruczniku, ciągle nas alarmuje ta była żona Glasury. Mówi, że jest w strasznym niebezpieczeństwie, że jej mąż jest zagrożony. Ona żąda, abyśmy jego ochraniali. Żąda, prosi, błaga o taką ochronę.

— Wyślijcie tam ze dwóch ludzi. Niech popatrzą, co się dzieje. Znacnie sprawę, sierżancie.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Znowu wychodzisz? O tej porze? Zaczynasz już codziennie wychodzić wieczorem.

Jan denerwował się. Spędzał te późne popołudnia zaryglowany na pięć spustów, przy oknach zaciemnionych, tak aby nawet skrawek światła nic dostał się z zewnątrz do mieszkania i z mieszkania na zewnątrz. Miał wprawdzie klucze, mógł w każdej chwili rzucić wszystko, wyjść, pobiec, uciec. Ale przed każdym wyjściem Doroty były najpierw przekomarzenia się, jego protesty, jej tłumaczenia.

— Muszę iść, przecież wiesz, że muszę wszystko sama załatwić, że tobie w tym nie wolno uczestniczyć. Tak, muszę zaopatrzyć nasz dom i utrzymywać go. I ratować ciebie, nas.

W tym momencie, codziennie w ciągu tych kilku dni, wybuchała awantura. Obwiniali się wzajemnie o nieostrożność, niedołęstwo, rzucali kalumnie na swoją miłość, tę miłość, która oboje czyniła kalekami, zastanawiali się, co będzie po tych czterech czy pięciu dniach (terminy ciągle się oddalały), roztrząsali każdy szczegół swej sytuacji. Jan stawał się coraz niecierpliwszy i mniej spokojny. Coraz bardziej jego strach mieszał się z niechęcią do takiego życia.

— Mam dość — mówił. — Siedzimy razem, patrzymy na siebie. Mówimy ciągle to samo, zastanawiamy się nad rozwiązaniem sprawy, która na pewno nie ma żadnego rozwiązania. Ucieknę — groził. Coraz częściej padała ta groźba.

— Dokąd? — pytała.

— Byle gdzie. Nie wiem. To nie ma znaczenia. Przerwę zaczarowany krąg.

— Potrafiłbyś żyć beze mnie?

Czuła, że bez niego żyć nie potrafi. Była tego pewna, że nie udźwignie ani jednego dnia bez tego głupiutkiego chłopca. On zastanawiał się, czyby potrafił żyć bez niej. Liczył najpierw godziny mijających dni, ranki monotonne, beznadziejne, popołudnia bez powietrza i słońca, bez możliwości chociażby spaceru, długie popołudnia i wieczory, które były najgorsze, bo gdy kładli się do snu, wiedzieli, że długo nie zasną, że nie zasną może w ogóle do następnego bezsennego ranka. I tak to się będzie ciągnąć.

— Jeszcze te twoje codzienne wyjścia. Dokąd tak chodzisz, gdzie spędzasz tyle czasu?

— Zrozum — zakupy, to zabiera czas, ta komunikacja, wiesz, ile to czasu zabiera. W sumie jesteśmy bez siebie dwie godziny.

— Wczoraj wróciłaś po trzech.

— Musiałam coś jeszcze załatwić. — chciała być szczerą.

— Co?

— W naszej sprawie, w twojej. Za wcześnie, żeby mówić, za wcześnie. Uwierz mi, nie każ wszystkiego wyjawiać.

— Jest więc skrzętnie ukrywana przede mną tajemnica.

Rzucił się nagle na nią. Coraz częściej tak postępował. Brutalnie szarpał, potraçał, bił.

— Musisz mi powiedzieć, gdzie chodzisz. Musisz!

Wrywała się, płakała. Była słaba, krucha. Można ją było łatwo zniszczyć.

— Zabijesz mnie — płakała.

Wtedy zaczynał się odwrót. Padał na kolana, przeproszał, błagał. Przysięgał, że na wszystko się zgadza, że nigdzie nie wyjdzie, mowy nie ma, a ona niech sobie idzie na te dwie godziny, na trzy, na ile chce. On ma do niej bezwzględne zaufanie. Oczywiście. Jeśli ona musi. Kochana.

— Jakże mogłem przed chwilą? Jak w ogóle można ci nie wierzyć?

Po ataku wzajemnej miłości odprowadzała go do „gabinetu”; a sama rygłowała drzwi za sobą, jedne za drugimi. Potem zamki. Nasłuchiwała na schodach.

Rozglądała się. Ciekawa była, czy ukradkiem przez szczeliny w grubych kotarach Jan jej nie śledzi. Ale on naprawdę nie śledził. Złamany swoją brutalnością, nadużyciem swej siły wobec tej słabej i kochanej istoty, stawał się potulny i posłuszny. Dopiero gdy wracała, awantura rozpoczynała się od nowa. Ich życie stawało się pasmom nudy i karczemnych awantur. Na zmianę.

I to było nic do zniesienia.

Tego wieczora jednak powiedziała:

— To już czwarty dzień, jeszcze jeden, dwa i to się musi skończyć.

— Co się musi skończyć, zagrożenie? Jak to możliwe?!

— Dowiedziałam się, że on nie ma już z czego budować nowych szurków- Może dysponować tylko tymi, bardzo chyba nielicznymi, które ma jeszcze w zapasie.

— Skąd wiesz?

— Dowiedziałam się.

— Od kogo? To jest na pewno ta twoja tajemnica. Od kogo?

Uciekła się do swojej kokieterii, starała się rzucić na niego swój czar. Uspokoił się szybciej niż zwykle. Czyżby wpoila mu po raz pierwszy nadzieję?

Trochę półprzytomnie — obserwował to — ubierała się do wyjścia, wszystkiego szukała, wszystko jej wylatywało z rąk. Nie podał jej ani rękawiczek, które upuściła, nie powiedział, gdzie położyła uprzednio torebkę, której szukała długo, zanim odnalazła ją. Niedbale pomalowała wargi. Szminka wychodziła daleko poza to, co trzeba było pomalować. Obserwował ją uważnie. Po raz pierwszy chłodniej niż zwykle. I choć miał już na końcu języka, nie zapytał „co ci jest”, nie powtórzył też swego „dokąd idziesz”.

A ona nie zwróciła większej uwagi, że uspokoił się dziś zbyt szybko.

Pocałowała go, jeszcze raz pocałowała. W tym momencie musiała widać pomyśleć, że przecież możliwa jest i taka sytuacja, iż się więcej nie zobaczą od tej chwili. Codziennie, wiele razy dziennie, niemal bez ustanku przychodziło jej to na myśl.

Drzwi zamykała dokładnie, jak zwykle. Zaraz po jej wyjściu, gdy sprawdził, że była już na ulicy i poszła w kierunku najbliższego przystanku autobusowego, wydobyl z trudem drugie klucze, których nie wolno mu było nigdy brać do ręki, przecież przyrzekł. Cichutko sprawdził, czy na schodach nie ma nikogo.

W tenisówkach szedł za nią, jej szlakiem, dobrze widać było mimo zmroku jej sylwetkę na przystanku. Chciał wiedzieć, dokąd jedzie. Czy naprawdę najpierw do sklepów, a potem do tego, hm, informatora? Przypuszczał, kto nim jest, przypuszczał, kto jej pomaga. W gruncie rzeczy był pewny, że to Grudziński.

Wiedział o uczuciu tego człowieka, o głębokiej miłości, jaką ten człowiek darzył Dorotę, bez względu na to, z kim ona była i bez względu na okoliczności, jakie towarzyszyły bieżącym wydarzeniom. Był zdolny do daleko idących poświęceń.

Skąd ja to wszystko wiem? — kpił z siebie Jan. — Przecież ja to wszystko wiem od tej kobiety. Od niej. Ona tam codziennie chodzi, a ja udaję, że nie wiem, co ona przede mną ukrywa. Ohyda. — Przemógł swój strach przed profesorem. Swoje przerażenie spowodowane jakże niedawnym spotkaniem ze szczurkiem. Musiał się przemóc, żeby się przekonać.

Wsiadła do autobusu.

Udało mu się. Mam szczęście — pomyślał. Ten sam numer zjawiał się na przystanku, zanim pierwszy wóz odjechał. Dwa autobusy jechały teraz niemal razem, zmierzały w jednym kierunku. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby tak się nie stało. Strach zaczął dławić go za gardło. Więc na pewno byłby jeszcze postać chwilę na przystanku i zawrócił. Zaryglował się w domu i czekał. Powiniennem był wrócić — mówił sobie, obserwując uważnie na każdym przystanku, kto wysiada z pierwszego autobusu. Żeby dotrzeć do Grudzińskiego musiała się przesiąść albo na autobus, albo na tramwaj, albo podejść piechotą z kilometr. Bocznyymi ulicami za mostem, w kierunku willi, w której docent mieszkał.

Jan dziwił się, że ciągle dalej za nią jedzie. Bał się i w dodatku dręczyło go poczucie winy. Nie miał pretensji do Doroty, starał się zrozumieć, że ona działała w jego interesie, chociaż niezupełnie w to wierzył. Natomiast odżywała stara, zapiekła nienawiść do Grudzińskiego. On w gruncie rzeczy był jego rywalem, kiedy się poznali, nie zaś stary profesor.

Mój Boże — myślał. — Jak to się wszystko skomplikowało! Jeszcze ta zbrodnia, ta straszna zbrodnia i ten szczurek jako jej narzędzie.

Prasa huczała. Wpędzała ludzi w atmosferę strachu.

Jan denerwował się coraz bardziej, co jednak wcale nie przeszkadzało mu w zachowywaniu maksymalnej ostrożności.

Szła do Grudzińskiego. Jasne — ten ostatni odcinek postanowiła najwyraźniej przejść piechotą. Było to wygodne dla śledzącego.

Widział, jak podchodzi, jak naciska dzwonek. Otworzyła jej, jak się mógł zorientować, jakaś kobieta.

Zrobiło się ciemno. W oknach sąsiednich domów zapalały się światła. Zapuszczano zasłony. Ogrody ziały jesienną wilgocią. Mgła, powoli gęstniejąca, ogarniała ulicę, zakrywała drzewa.

Dobrze — pomyślał — zaczekam. Zaczekam, zaczekam, zaczekam! — Dusił go wściekłość. Mgła i wściekłość.

Ale to już nie było czekanie. To była pułapka. We mgle przemierzał uliczkę wzdłuż i wszerz, kluczył, przypatrywał się nielicznym przechodniom, sam starając się ukryć swoją twarz. Myśli skłębiły się, zagmatwały. Im dłużej czekał, tym bardziej się zdawał uspokajać.

Umacniał w sobie postanowienie. Czaił się. Przestał wspominać i wyobrażać sobie. Uwaga się zaostrzyła. Miał mimo mgły jak gdyby dar niezwykle precyzyjnego widzenia wszystkiego, co go otaczało. Każdego szczegółu. Tak mijały godziny.

Gdy wyszła wreszcie, szedł za nią przez chwilę. A potem chciał zawrócić i dostać się do willi. Ale ona musiała go od razu zauważyć mimo jego kamuflażu. Przystanęła i głosem cichym, zduszonym z przestrachu zawołała:

— Janku!

Odwrócił się. Podbiegł. Ścisnął tak, że straciła oddech. Ale trwało to mgnienie oka. Puścił ją.

— Co tam robiłaś? — zapytał już spokojnie. Prawie obojętnie.

I to ją najbardziej przeraziło- Tego się naprawdę bała.

— Namawiałam Grudzińskiego, żeby go zabił. Tak, namawiałam do zbrodni. To by było dla nas wyjście.

— I co? — pytał dalej tym samym tonem.

Milczała. Szli razem przez mgłę, już w niewielkiej odległości szarą ciemność przebijały potężne światła latarni. Do przystanku było ze 200 metrów.

Więc przystanęła i powiedziała:

— Może zniszczyłam to, za czym szaleję. Ale tak się nie może skończyć, nie może! — Z rozpaczą patrzyła na Jana.

— Zobaczmy, jak to się skończy — odezwał się twardo.

Akurat przejeżdżała taksówka.

Wówczas pomyślała, że on jest tak straszliwie, straszliwie narażony, ten jej Jan i jak w panieźnej ucieczce pomagała mu ładować się do taksówki, chroniła go swoim ciałem od domniemanych ataków z zewnątrz.

Była zrozpaczona, a on jak gdyby jej nie dostrzegał. Żuł coś w sobie, żuł jakieś złe myśli. Zdawało się jej, że wie, jakie to zło. Pieściła jego dłoń, gładziła po głowie jak małe dziecko. Odtrącił ją. Jechali w zupełnym milczeniu.

9

Pułkownik Groński wezwał Jerzego Berdę nazajutrz rano. Gdy tylko Berda zjawił się w pracy, zameldował się służbiście, jak zwykle, sierżant Pęk i przekazał mu rozkaz szefa.

U pułkownika było kilka osób. Typowa narada produkcyjna — jak zwykli byli nazywać takie robocze spotkania. Znali się tu wszyscy- Wśród dowódców różnych odcinków służby znajdował się jednak również nic znany mężczyzna w cywilu.

Kto to może być? — zastanawiał się Berda.

— Przedstawiam was wiceprezydentowi miasta — powiedział pułkownik. — Porucznik Berda należy do asów naszej służby kryminalnej.

Zwrócił się z kolei do gościa.

— Może krótko, żeby wyjaśnić waszą tu obecność, prezydencie. Afera zabawkarska nabiera niespodziewanego obrotu, staje się sensacją. Prasa rozdmuchała sprawę domniemanego zabójstwa Siweckiego, bo ciągle jeszcze nie wiadomo właściwie, w jaki sposób on naprawdę zginął. Zaczyna się domagać szybkich rezultatów śledztwa. Doszło do tego, że władze musiały wstrzymać sprzedaż wszelkich automatycznych i mechanicznych zabawek, nie tylko już tych podejrzanych szurków. Ludzie są po prostu zaniepokojeni.

— Właśnie — podjął wątek pułkownika prezydent — w dodatku była żona profesora podnosi ogromny szum. Chodzi do kogo tylko może. domagając się aresztowania profesora, wytoczenia przeciwko niemu procesu, czegoż ta 'rozwścieczona i przerażona ba... kobieta (poprawił się) nie żąda. Dlatego pragnęlibyśmy, aby milicja, abyście, poruczniku, jak najenergiczniej wzięli się do tej sprawy. Co sądzicie o profesorze? Nie znałem go.

— Powiem szczerze — Berda mówił to bardzo powoli, z dużym namysłem — nie mam jeszcze na tę sprawę żadnego skryształowanego poglądu. Byłoby rzeczą zupełnie niesłychaną, aby ktoś odważył się w tak ostentacyjny sposób, jak to by można przypisywać profesorowi, manifestować swoją chęć zemsty. Stwierdziliśmy niemal ponad wszelką wątpliwość alibi uczonego. Nie, profesor nie zabił Siweckiego. Należałoby więc przypuszczać, że albo jest niewinny, albo ma współników. Któż mógłby być współnikiem profesora i w jakim celu by to robił? A może istnieje jeszcze ktoś. kto chciałby wyrzucić zemstę na byłej żonie profesora i jej obecnym młodym mężu, albo tylko na tym młodym człowieku? Oto są pytania, na które postaramy się możliwie szybko znaleźć odpowiedź. Bez stwierdzenia tego faktu będziemy błędzić po omacku.

— A jak myślicie — zapytał pułkownik — kto mógłby wspomagać profesora, czy też może włączyć się złośliwie w jego działanie, czy wykorzystywać po prostu sytuację tego starca?

— Dla mnie podejrzany staje się w takim wypadku człowiek, którego łączyły jeszcze kilka lat temu jakieś związki zarówno z profesorem, jak i z zabitym Siweckim.

— Myślicie, poruczniku, o docencie Grudzińskim — powiedział prezydent. — Muszę wam tu powiedzieć, że osoba docenta dobrze jest znana w kołach naukowców i w urzędzie miasta. Opinie o tym człowieku są jednoznaczne: prawy, uczciwy, rzetelny, pełen poświęcenia w swoim zawodzie, a także i poza zawodem. Mieliśmy na przykład dowód jego rzetelności i poświęcenia podczas awarii w Wytwórni Elektrycznej. On jest tam konsultantem naukowo-badawczym. Ratował ludzi, ryzykując własne życie. I co wy na to?

— Nie wiem więc, dlaczego twierdzi uparcie, że szurki są nieszkodliwe. Powinien by zachowywać więcej ostrożności w swoich opiniach. A on twierdzi to absolutnie, z taką pewnością, jakby je sam robił. Poza tym proszę wziąć pod uwagę, że w tę całą historię wkracza kobieta. Cherchez la femme. Tego także uczono mnie na kryminalistyce. Nieraz bywało, że gdy kobieta wmieszana jest w taką zawikłaną sprawę, ona stanowi jej punkt węzłowy. A tu przecież mamy do czynienia z kobietą niezwykłą. Inteligentna, wykształcona seksbomba. To naprawdę rzadkość, unikat.

— Myślicie? — powiedział pułkownik. I do prezydenta. — Zostawmy to na razie porucznikowi Berdzie. Przy biurku niczego nie rozstrzygniemy. On już lepiej wie, jak czego szukać. A poza tym z jego często niepotwierdzonych podejrzeń rodzą się nagle fakty niezbite, stuprocentowe.

— Dziękuję, poruczniku — prezydent uśmiechnął się i mocno uściśnął Berdzie dłoń. — Byle szybko — dodał.

— Zobaczymy — odparł Berda. — Zobaczymy, co się da zrobić. Idę do tego Grudzińskiego. Chcę go zobaczyć na tle jego domu.

Docent mieszkał w willowej dzielnicy. Była to ta część Kępy, która gromadzi ludzi niekoniecznie zamożnych obecnie, ale na pewno takich, co to kiedyś po kimś odziedziczyli przynajmniej jednopiętrowy domek z wielkim hallem i kominkiem.

Berda znał już niejedną taką posesję. Okazało się jednak, że docent nie jest żadnym dziedzicem, lecz po prostu od-najmuje dwa pokoje w wielkim, nobliwie wyposażonym mieszkaniu. W hallu była galeria czyichś portretów rodzinnych. Trochę koniuszy, trochę nowych mundurów. Interesujący melanz.

Docent nie okazał zdziwienia, przeciwnie, był zdenerwowany i jak gdyby oczekiwał wizyty funkcjonariusza milicji.

— Szybko działacie — powiedział, starając się opanować drżenie.

— Jak to? — zdziwił się porucznik. — Chce pan przez to powiedzieć, że mnie pan wzywał?

— Ależ tak- Wzywałem. Przed kilkunastoma minutami. Nie rozumiem...

— Mniejsza z tym — przerwał porucznik. — Co się stało? — powtórzył.

Docent Grudziński rwącym się głosem opowiedział swoją niezwykłą przygodę. Wracał już, gdy się ściemniało. Prosto z instytutu.

Nie mam samochodu. Przyjechałem autobusem. A ostatnie jakieś trzysta metrów idę zawsze piechotą. Zawsze. Śledził mnie widać i chciał napaść ktoś, kto dobrze zna te moje obyczaje.

Uliczka w tym miejscu zwęża się. idzie między murkami willi stojących w głębi. Światła tu mało. Latarnie stoją rzadko, a z zasłoniętych okien ledwo przesącza się trochę blasku.

— Byłem zamyślony, nagle poczułem, że ktoś idzie tuż za mną, cichutko, skradającym się krokiem. Mimo woli obejrzałem się. Ale ten ktoś odskoczył w bok i starał się zarzucić mi na głowę długi szal. O ten. To jest mój szal. Nie rozumiem, w jaki sposób dostał się w te niepowołane ręce. Czy zostawiłem go w instytucie, czy idąc zgubiłem? Nie wiem. Równocześnie podstawiono mi nogę. Być może napastników było nawet dwóch. Krzyknąłem bardzo, bardzo głośno. Można powiedzieć, że ryknąłem jak przestraszony zwierzak.

— Już wiem — powiedział niemal wesoło porucznik Berda — już rozumiem. Po chwili znalazł pan koło siebie szurka.

— Tak, rzeczywiście. Jak się pan domyślił? Głupie kawały.

— I nie łączy pan tego z osobą profesora?

— Wątpię czy on,...

— Panie docencie, a proszę mi powiedzieć, co pan robił w dniu, w którym zginął Siwecki, wspólny przecież pana i profesora znajomy. Może nawet przyjaciel. Co pan robił w tym dniu wieczorem?

— Szczerze mówiąc nie pamiętam i nie zależy mi, żeby pamiętać. Nie mam nic wspólnego z Siweckim i nic wspólnego od wielu lat z nim nie miałem. Nigdy z nim mnie nic nie łączyło. Pojmuje pan, nigdy!

Mnie interesuje moja sprawa i dla niej tu pana wezwałem. Bo ten kawał ze szczurkiem, z napadem na mnie...

— Kawał — powiedział porucznik. — O kawale tu chyba trudno mówić. Toż przecież nasza eksper-tyza nie wyklucza, że Siweckiego pogryzł ten niewinny, pańskim zdaniem, szczurek.

— To niemożliwe.

— Taki jest pan pewny wyników swojej analizy?

— Wykonywałem ją dwukrotnie.

— Panie docencie, jeszcze raz proszę, aby pan sobie przypomniał, co pan robił wieczorem w dniu śmierci Siweckiego?

— Nie mam zamiaru zwierzać się panu ze swego osobistego życia. Przyjmowałem tu kogoś. Czy to wystarczy? Zapyta pan zaraz, kto to widział. Otóż nie wiem, czy moja gospodyni była wtedy obecna, czy nie była. Nie wiem też, czy zdążyła dojrzeć mego gościa przez dziurkę od klucza, czy przez szparę między drzwiami.

Ostatnie zdania brzmiały szczególnie głośno. Rozmowa toczyła się w wielkim hallu. Rozmówcy to-nęli w miękkich klubach, ale z trzech stron były drzwi, które prowadziły do pokoi. Gospodyni mogła stać za jednymi z nich.

Porucznik zaczął się szybko żegnać. Powiedział na koniec:

— Niech pan postara się znaleźć wiarygodne alibi. To naprawdę ważne. W tym wypadku dyskrecja panu tylko zaszkodzi. Przykro mi, ale nie mogę inaczej. Muszę wiedzieć, co pan robił tego wieczoru. Z kim się pan spotkał?

— Zastanowić się? — odparł docent. Jego zdenerwowanie zdawało się ustępować jakiemuś bardzo intymnemu nastrojowi — Sądzi pan, że będę musiał wyznać?

— No i kto pana napadł, proszę powiedzieć. Pan wie!

Porucznikowi przyszło na myśl, że gdyby Grudzińskiemu chodziło o profesora, nic mówiłby w ten sposób, tylko dawałby do zrozumienia bardziej otwarcie. Jaka grę prowadzi ten człowiek? Co oznacza histo-ria z napadem? Zakryto facetowi twarz jego własnym- szalem, rzekomo znalezionym wcześniej. Jak można w taką bajkę uwierzyć?

— A co pan zrobił z tym szczurkiem, który miał pana prześladować?

— Widzi pan. Tego, kto mnie napadł, spłoszono. Zauważyłem natychmiast, gdy tylko się podniosłem i usunąłem ten szal z twarzy, że do sąsiedniej willi zbliża się objęta para młodych. Znam ich z widzenia. Ona tu mieszka. A on ją prawie codziennie odprowadza. Może pan sprawdzić. Kto wie, czy czegoś nie spo-strzegli.

— A pan, panie docencie, nie pytał?

— Nie chciałem już wychodzić w ciemności z domu. A szczurek. Nie ma szczurka. On natychmiast uciekł gdzieś w ciemność. To jedna z właściwości tych zabawek. Czytał pan chyba o tym choćby w prasie, panie poruczniku.

— Jutro proszę o dwunastej zjawić się w komendzie. Muszę z panem porozmawiać. Muszę znać pańskie alibi.

— Do widzenia. Szczurek zniknął.

Dziwna historia — myślał porucznik Derda. Wsiadł do samochodu. I idąc za pierwszym odruchem mimo spóźnionej pory postanowił odwiedzić byłą żonę profesora. *Cherchez la femme*, zwłaszcza że obiecał jej ochronę, a tymczasem dotychczas nikogo nie wysłano.

10

— Ależ twierdza — powiedział głośno porucznik Jerzy Berda dzwoniąc i stukając do drzwi mieszkania Doroty Skierskiej. Spodziewał się od niej wielu informacji. Przede wszystkim o Grudzińskim. Był bowiem głęboko przekonany o nie całkiem czystym sumieniu docenta. Na pewno ten człowiek albo ukrywał stwierdzone podczas badania drapieżne cechy szczurków, albo sam posługiwał się w jakimś celu (do diabła, w jakim?) legendą i atmosferą, które już zdążyły narosnąć wokół tych przedziwnych zabawek.

Czy jednak posunął się aż do zabójstwa, nawet jeśli prowadzi jakąś swoją grę? Powiedzmy, grę o Dorotę, czy zresztą taka gra w ogóle wchodzić może w rachubę?

Opinie o Grudzińskim nie były tak zupełnie nieposzlakowane, jak to stwierdził wiceprezydent miasta na podstawie uzyskanych dokumentów i oficjalnych oświadczeń. Zawsze pod tym niejako oficjalnym nurtem da się dostrzec drugi nurt dobrze znany sąsiadom, najbliższym przyjaciółom i wrogom. Posądzano więc docenta właśnie o romans z profesorową. Widywano ich razem w podmiejskich kawiarniach, to znowu ktoś ich spotykał w hoteliku w Kazimierzu podczas licznych wówczas wyjazdów zagranicznych i krajowych profesora. Tak. Grudziński nic był rycerzem bez skazy. Podobno tak stracił głowę na punkcie Doroty, że oboje przez pewien czas chodzili wszędzie razem udając małżeństwo.

Z chwilą poznania młodziutkiego Jana, prawdziwego bożyszcza kobiet, który bardzo późno, bo już pod koniec pro fos orskiej kadencji, przewinął się przez instytut, te romanse i spotkania docenta ustały nagle i zdecydowanie. Urwały się jak przecięte nożem.

Podobno profesor dopiero wtedy się o nich dowiedział od kogoś, kto, jak to zwykle bywa w anonimach, podpisywał się jako „życzliwy” albo „stary przyjaciel”. Zanim jednak wybuchnął gniew profesora, zanim ostrze tego gniewu zdołało się skierować przeciwko docentowi — już nastał Jan. Już rozpoczęły się drastyczne utarczki, walki, całe kampanie. I zaraz potem karczemne awantury oraz śmiertelne pogróżki.

Przyczynkiem do charakterystyki profesora i docenta Grudzińskiego były ich dalsze losy. I chociaż Jan zajął miejsce Grudzińskiego, stary uczonec nie zrezygnował z zemsty na swoim koledze.

Powiadano, iż zdyskwalifikował jego pracę habilitacyjną. Wyśmiał ją publicznie. Wkrótce potem jednak Grudziński miał sposobność do rewanzu i to pełnego rewanzu. Profesorowi nie wyszły badania nad płynnym ośrodkiem pamięci elektronicznej (tak chwalonym potem u szczurków przez Grudzińskiego wobec porucznika Berdy). Skandal zaś domowy — ciągle, potworne wprost awantury z żoną, która publicznie krzyczała, że się ją maltretuje — dopełnił miary: profesora najpierw delikatnie odsunięto od władzy, powie-

rzając ją Grudzińskiemu. Następnie po wypadku, jakiemu stary profesor uległ w laboratorium chemicznym, i po chorobie, całkiem go spławiono.

A propos wypadku. Berda zanotował sobie głosy, mówiące o samobójstwie, a raczej próbie samobójstwa profesora. To było możliwe.

Rozwód dostała Dorota przed rokiem dopiero. Profesor zgodził się na to podczas jednej z licznych rozpraw- Następnie doszło do karczemnej awantury już w kuluarach sądowych. Faktycznie wówczas świadkowie słyszeli pogroźki uczonego. Wtedy to zaczęły się ucieczki młodej pary. I powrót do zakamuflowanego mieszkania nabytego podobno za drogie pieniądze. Transakcja przebiegała z rączki do rączki, tak że Berdzie nie udało się absolutnie ustalić, czy i ile zapłacono.

Pieniądze. Mówiono, że Dorota zabrała swemu byłemu mężowi cały jego, wcale niemały, bo ciułał przez długie, skromne życie — majątek. Miał to być duży majątek, idący w miliony. Inni powiadali, iż uczony zawsze był goły i że jednym z powodów romansów jego żony była chęć urozmaicenia szarego, wręcz klasztorowego życia.

Berda przypuszczał, że prawda tkwi gdzieś pośrodku. Trochę musiała zabrać z uciulanych przez profesora dóbr, kto wie, czy nie uszczknęła też mająteczku starego kawalera i dziwaka, Grudzińskiego. Jan również nie należał do biedaków, coś tam wartościowego odziedziczył po ojcu, który zmarł za granicą.

Porucznikowi jednak trudno było uwierzyć, aby kwestie majątkowe mogły odegrać poważniejszą rolę w całym konflikcie, rzutować na przebieg ostatnich wypadków. Nie ufał także i tym, co twierdzili, że profesor dla celów materialnych, tylko po to, żeby zdobyć pieniądze, budował elektroniczne zabawki. Jakieś znaczenie w całej sprawie i to znaczenie niebagatelne muszą mieć te zwierzątka, ta „śmierć z małymi zębami”, jak je nazywała Dorota Skierska. Nawet gdyby przyjąć wersję o ich nieszkodliwości i twierdzić, iż Siwecki zginął na zawał serca. Ale ranki, ranki, skąd się wzięły na szyi denata?

Dzwonienie i stukanie nic pomagało. Porucznik zaczął się denerwować. Uderzał mocno całą pięścią, aż huczało na klatce schodowej. Może uciekli, może znowu strach skłonił ich do jakiegoś szaleństwa?

— Tu milicja — wołał Berda — proszę otworzyć.

Cała kamienica była już na klatce schodowej, gdy wyłowił wreszcie odgłosy spoza drzwi. Było tam szamotanie, przepychanie, szczękanie odległych zamków, zgrzyt zasuw u drzwi wejściowych.

W uchylonych drzwiach widać było Dorotę uzbrojoną w oryginalną góralską ciupagę z ostrym, pięknie rzeźbionym czekanikiem.

— Proszę mnie wpuścić, chcę z panią porozmawiać.

— Mam zepsuły telefon — odparła — ale chętnie pana widzę, byłabym po pana dzwoniła.

Próbowała hamować wzburzenie, ale jej wielkie oczy płonęły, czyniły ją jeszcze ponętniejszą, niż gdy załamywała się i płakała. Była jak lwica chroniąca swoje małe, gotowa do walki. Piękna, groźna i śmieszna zarazem. Jakże łatwa do opanowania, do uległości.

— Boi się pani nadal. Gdzie pani małżonek?

— Odmawialiście mi ochrony. To znaczy odmawialiście stale ochrony dla mego męża, dla Jana. Czy dalej to samo chce mi pan powiedzieć? Nie po to chyba pan tu przyszedł.

Porucznik usiadł na niewygodnym nowoczesnym krześle- Mieszkanie pełne było takiej wymyślnej, kolorowej niewygody. Stoły niskie, na których serwowanie jedzenia i jedzenie to męka. Krzesła o oparciach wygiętych, nie sprzyjających plecom ludzkim.

Rozległo się ciche, ale natarczywe pukanie zza drzwi po prawej stronie. Uchwycił przerażone spojrzenie kobiety, gdy patrzyła na te drzwi, gdy wsłuchiwała się w rosnący za nimi stukot.

— Janie — powiedziała — nie wychodź. Nie chcę, żebyś wychodził. — I do porucznika: — Oto do czegoście mnie doprowadzili.

— Ostatecznie zgadzam się na ochronę.

— O Boże, nareszcie. Jeśli taka ochrona w ogóle coś może pomóc.

— Niech się pani trochę opanuje. Postawię swoich ludzi. Będą krążyli w pobliżu domu. Będą obserwowali zbliżających się. Będą śledzili pani okna. W razie czego łatwo w takich warunkach alarmować. Nawet gdyby się ktoś przedał, choć w to wątpię.

— A sprawa Siweckiego? Przecież go okrutnie zamordowano. Szczurek... Śmierć z małymi ząbkami.

Porucznik patrzył ze zgrozą na jej stale wzrastające podniecenie. Ruchy stawały się nieskoordynowane, w oczach błyszczało szaleństwo. Zdawały się nic nie widzieć oprócz obrazków, które rodziły się w tej rozgorączkowanej głowie. Żał mu się zrobiło lej pięknej kobiety. Jej piękność zdawała się wzrastać wraz z szaleństwem. Tak. była coraz piękniejsza. Wspaniała.

Poczuł się nieswojo, zaniepokoił się. Zaczynał rozumieć Jana, który dla miłości i namiętności decydował się na rezygnację z części swego ja, podporządkowywał się szaleństwu tej kobiety. Pukania ucichły.

— Pani była u docenta Grudzińskiego wtedy wieczorem? — zapytał zniecka.—. Posłała go pani do Siweckiego. O której był u Siweckiego?

— Nie wiem — odparła machinalnie. — Nie wiem, o której tam był.

Więc jednak. Sypnęła Grudzińskiego. Wydała go.

— Wyszedł razem z panią?

— Tak, wyszliśmy razem. Czekałam z piętnaście, dwadzieścia minut pod bramą. Wybiegł i powiedział mi to o szczurku. To potworne! Widzi pan, co może czekać nas, mego...

— A więc to tak?

— Jak to? — zorientowała się dopiero teraz, po chwili wzajemnego milczenia. — Jak to. on panu tego nie mówił?

— To nieważne. Dziękuję i przepraszam.

Wyszedł. Trzaskały za nim jeden za drugim rygle zamków. Słyszał stuk ciężkiej zasuw. Potem były już tylko stłumione gwałtowne głosy tych dwojga. Tak wyglądała ta miłość.

Ale poza tą refleksją, która przemknęła tylko Berdzie przez głowę, nurtowało go uparte pytanie. Czy docent Grudziński zabił Siweckiego mając z nim jakieś stare porachunki, powiedzmy o nią, o żonę swego pryncypała. To, że nie dała znać natychmiast milicji i że on nie dał, było już niezwykle podejrzane, rzucało cień na tego człowieka. Wezwiemy pana docenta. Niech się załamie. Niech wyśpiewa wszystko, co wie. A wic chyba bardzo dużo.

Pod domem krążyli ludzie z obstawy przysłani przez porucznika Berdę. Widziała ich. Teraz oboje z Janem coraz częściej stawali w oknie, zawsze osłonięci kotarą. Jeden z obstawy był niski, krępy, w mocno nasuniętym na głowę kapeluszu.

— Na pierwszy rzut oka widać, że to tajniak — powiedział Jan.

Stali przy oknie twarz przy twarzy, wsłuchani bardziej w rytm swoich ciał niż w to, co dzieje się na zewnątrz. To, co na zewnątrz, było bardziej snem niż rzeczywistością, oddalało się coraz bardziej. Tylko gwałtowność ich obojga najbardziej ze wszystkiego się liczyła. Byli jeszcze bliscy sobie, ale coraz gwałtowniejsi.

Drugi facet z obstawy, trochę wyższy, odznaczał się niezwykłą chudością i nie-dbałością o strój. Marynarka stara, wystrzępiona, wisiała na nim. Zanadto rzucał się w oczy.

— I tego bym też zaraz rozpoznała, gdybym chciała zaatakować ten dom — powiedziała. — Ciekawe, czy są jeszcze inni.

Byli teraz oboje jak gdyby spokojniejsi, strach sączył się głębiej, pod skórę, i tkwił jako tło wszystkiego, co przeżywali. Czuli się zagrożeni i to prowadziło do częstych zbliżeń.

— Chodźmy — powiedziała.

Poczuł szybki przypływ podniecenia.

Objął ją i poszli do wspólnej sypialni. Łóżka były rozścielone, zawsze gotowe do leżenia, zawsze zmierzwione, jakby zapomniano je poprawić, jakby szkoda było czasu na poprawienie czy ślanie.

Jesienne popołudnie wsączało się do tego pokoju przez pomarańczowe kotary pogodnym ciepłym blaskiem.

Gdy się już całkowicie zapamiętali, wyrwał ich z błogości przeraźliwy krzyk. Był to wrzask, od którego, zdawało się, ściany popekają.

Jan zerwał się pierwszy i chciał rzucić się ku oknu. Zdążyła go zatrzymać. Sama zaś dwoma susami znalazła się przy kotarze i spoza niej patrzyła na ulicę.

W to popołudnie ulica jakby zastygła. Normalnie był tutaj wielki ruch. Tłukły się po nierównych torach ciężkie tramwaje. -Dwie jezdnie falowały kolorowymi samochodami. Teraz ogromny tłum przerwał ten dotąd nieustanny ruch. Czerniała od niego ulica. Największe skupisko sięgało właśnie ich kamienicy.

— Otwórz okno, zobaczymy.

— Zostaw, zostaw. Wyjdę, dowiem się — mówiła znowu z rosnącą gorączką, półprzytomna, wyrwana brutalnie z najlepszego, przerzucona znowu do piekła.

— To nie ma sensu.

Gwałtowne pukanie do drzwi. Równocześnie drżący, wwiercający się w uszy świder dzwonka.

— Zostaw, to pułapka. Janku! Schowaj się! Znów cię zamknę. Błagam!

Był tak przyzwyczajony do jej szaleństw, że uległ natychmiast. Zamknęła go, zaryglowała drzwi do sypialni, porwała swój czekan i zbliżając się do wejścia wołała.

— Kto to? No, kto to?

— Z milicji! Proszę spojrzeć przez wizjer. Legitymacja.

Zajrzała. Istotnie legitymacja była opatrzona pieczętą milicyjną. Zresztą był to jeden z tych ludzi Berdy, który kręcił się cały dzień pod domem. To nie ulegało już żadnej wątpliwości. Mimo to nie otwierała, ociągając się z odsuwaniem ry-

— Co tam na dole, wypadek?

— Nie, proszę otworzyć, powiem pani.

Otworzyła, puściła go przez próg, ale umieściła się tak z tą swoją śmieszoną bronią, żeby zastawić drogę do pokoju Jana.

Milicjant patrzył na nią milcząco. Milczał zbyt długo oczarowany jej urodą.

— Co się stało, wypadek? — powtórzyła.

— Nie. Zabito sklepikarza z waszego domu. Zabiło go...

Krzyknęła, jakby rażona niespodziewanym ciosem. Krzyknęła po raz drugi i pchała milicjanta do drzwi, a on ustępował przed jej wściekłym, szaleńczym naporem. Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Ryglowała gorączkowo drżącymi dłońmi.

Wbiegła do Jana, nie zwracając uwagi na dalsze dobijanie się milicjanta.

Krzyczał przez drzwi:

— Chciałem od pani zadzwonić, zadzwonić do porucznika Berdy. To najbliższy telefon i można swobodnie porozmawiać.

Słowa milicjanta ginęły za podwójnymi drzwiami, dochodziły tylko ich zniekształcone, nic nie znaczące strzępy.

— Janku, słyszałeś?! Znowu. To ostatnie ostrzeżenie, to już koło nas. Teraz kolei...

Zatkał jej usta.

— Daj spokój. Tak dłużej nie wytrzymamy, daj spokój.

Była zupełnie roztrzęsiona. Nie pomogła obstawa, nie pomogły uspokojenia i wątpliwości porucznika Berdy. Ona miała rację: po ulicach miasta krążyła śmierć z małymi ząbkami, zabawki wyuczone zabijania ludzi. Każde okrażenie zbliżało je do Jana. Zemsta musiała być spełniona. I była mimo wszystko łatwa

do spełnienia. - Stary profesor działał podstępnie w swej norze. On wysyłał mordercze zwierzęta. I nic mu nie groziło. Nic.

— Wyjedziemy dziś wieczorem — powiedział Jan.

— Te potworki dogonią nas prędzej czy później.

— Chcesz więc powiedzieć, że musimy się poddać, że nie ma na to rady.

Jan nie po raz pierwszy ulegał panice. Teraz i on stawał się coraz pewniejszy, że musi pożegnać się z życiem, że spełnienie na nim zemsty jest rzeczą nieuniknioną.

Tym bardziej chciał uciekać. Wierzył czy raczej uwierzył w przeznaczenie i chciał się mu wymknąć, chciał oszukać los.

— Mówię ci, wyjedźmy-

— Stąd lepiej nie wychodzić.

— Ależ tu grunt się już nam pali pod nogami.

Objęła go, jakby już go jej ktoś zabierał, mówiła najczulsze słowa, jej palce przebiegały po całym ciele burząc krew. Przeżywali razem chwile' niezwykłego uniesienia. Miłość stawała się w tej sytuacji najlepszą ucieczką od prawdy.

Spleceni razem czuli, jak zapada się wokół nich cały świat, jak wszystko ginie A oni oboje powoli zagłębiali się w tej przepaści, w którą gwałtownie wtrącono wszystko, co ich otaczało.

Znowu zerwało ich gwałtowne stukanie.

Boso podbiegła pod drzwi.

Teraz też dobijał się jeden z milicjantów.

— Chciałem powiedzieć, chciałem tylko powiedzieć — wołał nie wiedząc, czy jest słyszany — że zwiększyliśmy obstawę, strażuje nas teraz więcej niż poprzednio.

Zaśmiała się histerycznie. Wróciła do Jana. Nie wiedzieli, nie chcieli może. wiedzieć, co dzieje się w każdym z nich. Czuła, że jeśli ta sytuacja nie ulegnie jakiemuś rozwiązaniu, dojdzie do rzeczy dla nich obojga najstraszniejszych. Nie chciała sobie tych rzeczy wyobrazić, choć wyobrażenia podsuwała jej różne drastyczne rozwiązania.

-Ale Jan poczuł się zmęczony. Powolutku i po cichutku ogarniało go potężne znużenie, był to najpierw bezwład fizyczny i pustka w mózgu, która wymazywała (nie od razu. nie od razu) wszystko, co przeżył dotychczas włącznie z tym, co działo się w tej chwili. Ciało kochanki zaczęło mu przeszkadzać, ciążyć, drażniła go jej histeryczna, drżąca, gorąca obecność.

— Wyjedźmy stąd.

Powiedział to dla ratowania się od ogarniającego go znużenia, aby odepchnąć myśli, które musiał uznać za nielojalne, wręcz zdradliwe.

— Wyjeżdżajmy, musimy wyjechać jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na niego, leżał na wznak z oczami wbitymi w sufit, rozprężony, bezwładny. Jego słowa nie przylegały do ich treści. Wydawało się, że w tym momencie, może wszystko powiedzieć i to, co mówi, nie ma najmniejszej wartości.

— Cicho — powiedziała obejmując go. Powinna była może usunąć się, wstać, wyjść do drugiego pokoju, zniknąć mu chociażby na moment z oczu. Ale ona w swojej gorącej kobiecej naturze przygarnęła go, przylgnęła do niego całym drżącym ciałem, -nie przeczuwając jego reakcji. Odepchnął ją.

Była zaskoczona. Stało się to po raz pierwszy od chwili, gdy się połączyli. Jeszcze raz próbowała się zbliżyć. Złagodził swój odruch jak najdelikatniej wypowiedzianymi słowami i krótką jak gdyby przymuszoną, niechętną pieścizną dłoni.

— Jestem zmęczony — powiedział. — Tak, ogromnie zmęczony.

Cisnęło mu się na usta lapidarne i ostre „mam tego dość”, ale jeszcze zdołał się pohamować. I dopiero te łagodne słowa. i ten niechętny odruch pieścizny wprowadziły ją w przerażenie.

Zerwała się z łóżka. Biegła nerwowo w kółko po sypialni. Wyglądało, że czegoś usilnie szuka. Ale ona nie widziała przedmiotów. Nie dostrzegała już nawet Jana, który ciężko dyszał tuż obok.

Cała oddała się wyobraźni i intuicji. Przeżywała to, co miało się. wkrótce stać. Ileż razy przeżywa się w wyobraźni dramatyczne chwile, ileż razy przeszłość miesza się z przyszłością, a teraźniejszość staje się wynikiem tych dwóch nierzeczywistych wymiarów...

Jan zasnął. Spał snem kamiennym. Czuł, gdy zasypiał, gdy jawa mieszała się ze snem, szybki, gorący oddech ukochanej. Było to mimo znużenia jeszcze przyjemne doznanie.

12

-W tę samą noc, a raczej późnym wieczorem, koło godziny jedenastej, paliły się światła zarówno w oknach centrali zabawkarskiej, jak i instytutu. Porucznik Berda i jego współpracownicy robili -dokładny bilans szczurków. Obliczali, ile ich w ogóle centrala przyjęła od profesora w ciągu całej zabawkarskiej działalności uczonego, ile wydała do sklepów, ile ze sklepów wycofano jeszcze przed śmiercią Siweckiego.

Interesowało też Berdę, ile szczurków dostał Grudziński i jego instytut do przebadania. Robota była żmudna, ale chodziło o to, aby bilans zgadzał się co do sztuki, aby można się było zorientować dokładnie., gdzie który szczurek przyjęty od profesora obecnie się znajduje. Oczywiście, nie dało się w tych rachunkach ująć zwierzątek sprzedanych, tych, co po prostu poszły w kraj i nie wiadomo, w czyich są rękach. Mimo całej historycznej kampanii prasowej, rozpętanej wokół tych dziwnych zabawek, ani jeden szczurek nie został przez klientów zwrócony.

Zapytany przez przełożonych o przypuszczalne powody takiej obojętności klientów, porucznik Berda odpowiedział:

Sądzę, że jak to zwykle bywa w takich sensacyjnych sprawach, ludzie nie mający nic z sensacjami wspólnego, zwykli, skromni i pracowici, nawet jeśli czytali doniesienia, nie identyfikują swoich szczurków z podejrzanymi o zbrodnicze działania, Zwłaszcza że widocznie żadne drastyczności nie ujawniły się podczas używania tych zabawek.

— Nie sądzi pan jednak, że powinniśmy ogłosić ostrzeżenie w sprawie szczurków?

— Nie sądzę. Przecież tylko w jednym wypadku, jak dotąd, można brać pod uwagę ewentualny bezpośredni udział szczurka w zbrodni. Tylko Siwecki nosił ślady „śmierci z małymi ząbkami”. Ekspedient sklepu z domu, w którym mieszka była żona profesora, nie ucierpiał z powodu szczurka ani trochę. Analiza wykazała, że -został zniecka uderzony prętem metalowym w tył głowy. Pęknięcie czaszki — to była bezpośrednia przyczyna śmierci.

— Panie poruczniku — powiedział pułkownik — ale przecież w raporcie przez pana podpisanym w tej sprawie również figuruje szczurek. .

— Ależ tak, nie wiem jednak, czy zwierzątko nie zostało użyte po prostu do zastraszenia lub zaskoczenia ekspedienta. Wykryliśmy je rozdeptane tuż koło lady. Rozdeptał je zapewne ktoś z tłumu.

— A więc mogło zostać użyte w akcji, miało wziąć w niej pewnie udział?

— Uderzenie było powodem zgonu ekspedienta, nie. szczurek, to jest fakt. Badałem jak najdokładniej życiorys zabitego. Najmniejszych absolutnie powiązań ani z profesorem, ani z żoną, ani z żadną z zamieszanych w tę aferę osób nie stwierdziliśmy.

Berda przerwał nagle.

— A więc przypadek, fakt, który zupełnie nie wiąże się ze sprawą jaką panu powierzyliśmy? Tak to wygląda?

Pułkownik starał się prowokować porucznika do zwierzeń.

— Sądzi pan, pułkowniku, że taki przypadek byłby możliwy? Jestem przekonany, że to nie żaden przypadek i, mówiąc szczerze, znajduję się w rozterce. Domyślam się już wielu rzeczy, wydaje mi się, że wiele wątków sprawy zbiega się w moim ręku, ale ciągle brak mi niezbitych dowodów winy. Dowodów, pozwalających na profilaktykę chociażby, jeśli już nie na początek kary.

W gruncie rzeczy na razie oprócz osłaniania domu byłej żony profesora niczego nie jestem w stanie przedsięwziąć, niczego konkretnego.

Mówiąc szczerze: jeśli profesor jest sprawcą śmierci ekspedienta, a zaczynam go o to poważnie podejrzewać, to żeby starego uczonego unieszkodliwić, potrzeba by jakichś świadectw tego zbrodniczego działania. Wiadomo natomiast, że profesor nie mógł mieć nic wspólnego z zabójstwem Siweckiego. Za to docent Grudziński przebywał u Siweckiego w wieczór zabójstwa, wysłany tam przez byłą żonę profesora. Dowiedziałem się o tym od gospodyni Grudzińskiego, właścicielki willi, w której mieszka. Ta pani nie ma nic innego do roboty jak podpatrywanie i obmawianie bliźnich. Opowiedziała mi więc zaraz i bez pytania o wizycie Doroty Skierskiej w dniu śmierci Siweckiego i o wspólnym wyjściu Doroty i docenta.

— Czyżby więc współpracowali, ten Grudziński i profesor? Po co by to robili? Żeby zniszczyć wspólnie Jana?

— Myślałem i o tym. Takie są fakty — odparł porucznik Berda. — Niczego więcej na razie nie udało się ustalić.

Nie lubił mówić o swoim śledztwie. Nawet szefom. Uważał, że ich rady, a czasem naciski, mogłyby zmienić sposób działania, wpłynąć na metody[^] gromadzenia dowodów. Chciał być niezależny. Robił uniki.

Faktem jednak było, że *feme fatale* — była żona profesora — miała romans i z Grudzińskim, i z Siweckim (tak jest), i jeszcze z kilkoma innymi panami, nie licząc najpóźniej poznanego i pokochanego Jana. Motywy więc zazdrości i nienawiści mogły kierować nie tylko postępowaniem profesora, lecz również Grudzińskiego, niezależnie od starego uczonego. Nie musieli wcale współdziałać.

O działanie z zazdrości można by zresztą równie dobrze posądzić i Jana, który był piekielnie wściekły z powodu wizyty swej ukochanej u byłego kochanka. Grudzińskiego — znowu informacja pani gospodyni, która dojrzała Jana' i Dorotę mimo mgły tuż pod drzwiami willi i śledziła jego gwałtowne zachowanie. Paskudny splot romansowych kłopotów. Ten węzeł trzeba szybko rozwikłać.

Pułkownik dopytywał się jeszcze Berdy o bilans szczurków zarówno tych w instytucie, jak i w centrali zabawkarskiej.

— Wiem już dokładnie, ile tego było — odparł porucznik. — Grudzińskiego kazałem właśnie ściągnąć z łóżka, jeśli już śpi, i zaraz tu sprowadzić. Być może sprawa Siweckiego, to drastyczne zabójstwo, jedyne, w którym mógł brać bezpośredni udział jako narzędzie zbrodni — szczurek, stanowi klucz do wyjaśnienia wielu innych zagadek. Proszę sobie przypomnieć, pułkowniku, jak to było z obecnością szczurków podczas popełnionych innych przestępstw. Na przykład według słów Grudzińskiego szczurek obecny przy ataku jakiegoś człowieka na docenta zaraz zniknął. Śmierć zaś ekspedienta w domu, w którym mieszkają Dorota i Jan, nie miała nic wspólnego z atakiem szczurka, jakkolwiek zwierzątko to znaleziono rozdeptane na podłodze.

— Komuś widocznie zależało na podrzucaniu szczurków. To pan także bierze pod uwagę, poruczniku? — pytał pułkownik.

— Tak, biorę. — odparł niechętnie.

— I jeszcze jedno, poruczniku. Trochę mnie dziwi, dlaczego nie próbuje pan ponownie przesłuchać profesora. On na pewno mimo swego niezbitego alibi w sprawie Siweckiego odgrywa jakąś ważną rolę w tym dramacie, chociażby jako producent narzędzi śmierci czy szantażu.

— Przyjdzie i na to kolej. Najpierw chcę porozmawiać z Grudzińskim. Ta rozmowa pozwoli mi na dyskusję z profesorem, powinna rzucić światło na jego rolę-

— No, dobrze, proszę szybko kończyć. Napięcie męczy nie tylko bezpośrednio zainteresowanych. Miasto czuje się w jakiś sposób zagrożone. Groza jest tym większa, że wampirem jest małe sztuczne zwierzątko — wytwór nauki i techniki.

W tym momencie wprowadzono Grudzińskiego. Docent był bardzo niedbale u brany.

— Ściągnięto pana z łóżka? — zapytał Bcrda.

— To bezprawie. Nie mam nic wspólnego...

— Przecież była żona profesora Glasury zeznała, że był pan u Siweckiego owego wieczoru. Dlaczego zataił pan to przed nami?

Grudziński milczał, nerwowo szarpał palcami rękawiczki, które zupełnie nie pasowały do-niedbałego stroju. Wziął je machinalnie ze stolika wychodząc z milicjantami. Szarpał je gwałtownie i nie chciał niczego powiedzieć.

— Proszę — powiedział porucznik Berda — oto zeznania profesorowej. Wsyła pana.

— Wcale nie prosiłem jej o dyskrecję — zawołał docent. — Nie była zobowiązana do milczenia.

Znowu zamilkł i nie. można było z niego nic wydobyć. Każda próba najmniejszej nawet dyskryminacji poczynań Doroty spotykała się z jego oporem.

— Czy mam pana zamknąć, po prostu zamknąć? A jutro poprosić prokuratora o akt oskarżenia w sprawie zabójstwa Siweckiego?

— Może pan zrobić, poruczniku, co się panu podoba.

— Berda wezwał protokolanta i dyżurującego podporucznika Roga. . — Pytajcie docenta o jego personalia, o powiązania z profesorem, była profesorową i o ten wieczór, pytajcie do zmęczenia.

Kiedy podporucznik wszedł, docent wstał.

— Proszę mnie wypuścić zawołał histerycznie.

— Będzie pan mówił? — spytał cicho podporucznik Róg.

— Niech pan pyta. Zobaczymy. Ja nie ;zabiłem Siweckiego.

Zaczęły się najpierw nudne pytania o wiek, miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania, dziesiątki prawie pustych pytań, z których nie wynika żaden obraz, motywacji czynów ludzkich.

Telefon przerwał tę nudę.

— To do was, poruczniku — powiedział służbiście Róg.

— Dziękuję. Słucham. Kto mówi, kto, BO kto?

W. telefonie odezwał się głos, który mógł być zarówno wysokim głosem mężczyzny, jak i niskim głosem kobiety. Przytłumiony, chropowaty:

— Proszę umyślnie nie przedłużać lej rozmowy. I tak mnie nikt nie wykryje, mówię z budki telefonicznej. Obstawcie lepiej profesora, chrońcie go. Grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. To wszystko. Cześć!

Szczęknięcie. Typowe dla automatów w budkach telefonicznych.

— Sprawdziliście skąd?

— Nie dało się — włączył się sierżant Pęk — za krótko trwało, Przypuszczamy, że to z okolicy Puławskiej. Blisko profesorowej — dodał. Berda spojrział w kierunku Grudzińskiego. Ten siedział cały zamieniony w słuch.

— Dość już tych komedii. Znowu życie -ludzkie zagrożone — powiedział Berda. — .Proszę natychmiast mówić całą prawdę. Co pan robił u Siweckiego? No!

— Tak, przyznaję, byłem tam. Posłała mnie, prosiła, żebym spowodował wycofanie wszystkich^ zabawek z terenu miasta -i spoza terenu także.

—No i?

— Poszła tam ze mną. Czekala pod bramą.

— Jak długo to trwało?

— Jakieś piętnaście minut.

— Co pan tam tak długo robił?

— Chciałem wybiec od razu. Ale stałem jak wryty i w mózgu mi się kłębiło. Nie wiedziałem, jak postąpić. Dzwonić na milicję czy nic dzwonić.

— I stojąc tak postanowił pan nic władzom nie mówić?

— Nie chciałem jej ani także siebie w to mieszać. Starłem nawet wszystkie swoje ślady. Chusteczką i szmatką do okularów, irchą, którą zawsze ze sobą noszę. Nie chciałem, aby ktokolwiek wiedział o mojej wizycie.

— O pana czynie.

— Nie zabiłem Siweckiego. Leżał - na podłodze pogryziony na szyi przez szczurka.

— Pan kłamie, docencie, Tam nie było szczurka.

— Jak to nie było?

— Szczurka mógł przynieść tylko pan. Ależ tak, proszę sobie dobrze przypomnieć. Policzyliśmy wszystkie szczurki dokładnie. Tylko pan mógł z instytutu wziąć szczurka. Jakoś niewinny w pana oficjalnej ekspertyzie zwierzak, nieoficjalnie kierowany pana ręką, pokazał swoje małe ostre kły. „Śmierć z małym ząbkami”. Nieprawdaż?

— O Boże, ależ to nieprawda.

— Przyniósł pan tam szczurka?

— Przypuśćmy, że przyniosłem.

— Zabił pan Siweckiego w czasie kłótni, której powodem była zazdrość. No, proszę się przyznać wreszcie.

— Nie zabiłem Siweckiego. W chwili, gdy wszedłem do jego mieszkania, on już nie żył.

— A szczurek? Grudziński znowu zamilkł.

Telefon. Docent wyraźnie odetchnął, Zeznania na chwilę przerwano.

— Panie poruczniku, dzwoniła do mnie była żona profesora. Mówiła takim rozdzierającym, okropnym szeptem. Mówiła tak: „Przed chwilą jakiś głos odezwał się w moim telefonie, powiedział, że już się zbliża, to już się zbliża. Co ja mam zrobić?” Prawie krzyczała tym rozdzierającym szeptem, jakby się bała zbudzić licha. Rzuciła słuchawkę, gdy się dowiedziała, że pan jest nieosiągalny.

Berda wstał od biurka.

— Musimy szybko kończyć, panie docencie. Wiec pan mówi, że pan nie zabił Siweckiego, że on już nie żył. gdy pan wszedł.

— Przysięgam, on już nie żył.

— A szczurek? Skąd się tam mógł wziąć, jeśli nie od pana?

— Poszedłem tam po raz drugi.

— Kiedy? Zaraz po odprowadzeniu Doroty?

— Tak, zaraz po odprowadzeniu.

— Ale podczas . tego odprowadzania zdążył jej pan powiedzieć, że szczurek zagryzł Siweckiego?

— Może i tak jej mówiłem.

— Dlaczego?

Grudziński podniósł oczy w błagalnym, niemal modlitewnym spojrzeniu.

— Błagam pana, niech pan jej nie mówi, że kłamałem.

— Więc pan ją okłamał, docencie. I nas pan także chce okłamać? Wiemy dobrze, że oprócz studiów elektronicznych ma pan także za sobą studia i praktykę medyczną. Pracował pan jako chirurg, prawda?..

— Już teraz powiem całą prawdę. Tylko proszę jej tego nie powtarzać.

— Słucham — powiedział Berda.

Zaczęła się w ten sposób spowiedź docenta Grudzińskiego. Jeszcze jednego opętanego miłością i zazdrością.

Berda słuchał mało uważnie. Pojął już wszystko. W uszach dźwięczało mu: profesor w niebezpieczeństwie.

— Jeszcze jedno pytanie. Chciał pan skierować podejrzenia o zabójstwo Siweckiego na profesora, prawda? Dlatego tak skancerował pan szyję Siweckiego zębami szczurka. To jasne. Ale nie jest jasne, kto pana napadł pod pana willą, czy w ogóle ktoś pana napadł i czy był przy tym obecny szczurek ?

Grudziński zbladł.

— No. Niech pan wyjaśni jeszcze jedno swoje obrzydliwe kłamstwo, zanim następny człowiek zginie, prędzej!

— Wydawało mi się, wy-da-wa-ło mi się, że to był Jan. Tak, to był on. Jest piekielnie silny. Wywrócił mnie. Uciekł zaraz spłoszony. A szczurka to także tylko dodałem, dodałem w słowach.

13

Zerwał się na równe nogi. Co go tak nagle zbudziło? Brak Doroty w zasięgu ręki, brak strachu, tak, wyraźny brak strachu i niepokoju, poczuł się jak gdyby wyzwolony. Światło dzienne przebijało te kotary z siłą, jakiej nie doświadczył jeszcze nigdy. W pokoju panował słaby półmrok.

Natychmiast zapomniał o śnie, miał w tych dniach ciągle straszne sny, które się nie kończyły. W różnych wariantach te same wątki powtarzały się z nocy na noc. A potem: ciąg dalszy nastąpi. Zapomniał jednak, co mu się dzisiaj śniło.

Był głodny, chciał zapalić papierosa.

Zapałę na czczo — pomyślał — ona zaraz zrobi śniadanie.

Zdawało mu się, że słyszy z kuchni brzęk szkła. Na pewno dotknęła talerzyków w kredensie, wyjmując naczynie, które potrzebne było do śniadania.

Mam odrobinę czasu dla siebie — pomyślał. — Nareszcie!

Wbrew zakazom i przyrzeczeniom zawiązał się szczelnie w szlafrok. Z trudem, ale i z wielką ostrożnością, tak aby nie być słyszany, odryglował balkonowe drzwi i wyszedł na balkon. .

Pogoda zapowiadała się cudowna. Mgiełka delikatna, jesienna wysrebrzała rozslonecznione dachy, słońce odbijało się także w szybach. Takie fajne życie.

Na sąsiedni balkon wyszedł synek sąsiadów.

Jaka szkoda, że nie mamy dziecka — myślał Jan, przypatrując się śmiesznym ruchom malca. Chłopczyk skakał po betonowej posadzce. Nagle wrzasnął ze złością i rozpaczą.

Wyjrzała rozczochrana matka.

— Co ci, Boluś?

— Myska mnie uciekła.

Jana przeszedł dreszcz. Tuż koło siebie na chropowatej okładzinie muru, lekko iskrzącej się w promieniach, zobaczył pełznącego szczurka.

Zwierzątko było wielkości małego kota. Oczy miało nieruchomo wbite w niego.

— Tak jest, wbite w moje oczy.

Trudno się od tego spojrzenia oderwać.

Jan cofnął się natychmiast w popłochu, ale nie zdążył drzwi zamknąć, choć próbował. Elektroniczna zabawka jednym wielkim susem znalazła się za progiem.

Chwilę stała, jak gdyby oślepią lub jakby coś węszyła.

Cofnął się więc dalej, aż poczuł za sobą ścianę. Głos zamarł mu w gardle. Teraz przypomniał sobie sen, pojął, że bierze udział w dalszym ciągu tego snu, że wszystko przedłużyło się na jawę.

Posuwał się wzdłuż ściany cały skurczony w sobie, z napiętymi mięśniami, z rękami uniesionymi na wysokość szyi. Starał się zręcznie omijać po drodze meble, żeby tylko nie upaść, żeby być coraz bliżej wyjścia. Chciał wołać, wołać Dorotę, wezwać ją na pomoc, szukać w niej ratunku. Głos mu uwiązł w krtani, zupełnie jak we śnie.

Poruszał ustami chcąc krzyczeć, ale wiedział, że nie umie wydobyć z siebie żadnego słyszalnego dźwięku. Dławiło go to.

Zwierzątko znowu skoczyło: na poręcz krzesła tuż przed pierściami. Bał się poruszyć. Słyszał silne uderzenia, głuche, regularne. Pojął: to bije moje własne serce. Nie potrafił zrobić więcej ani kroku. Z gardłowym skrzekiem zasłonił się ramionami przed skaczącym zwierzątkiem. Czemu Dorota nie przychodzi na pomoc?

Ale nic się nie stało.

Zwierzątko usadowiło się spokojnie na ramieniu. Drżał, żeby go nie stracić. Nie chciał drażnić bestii. Ile to trwało: sekundy, minuty, godziny?

Usłyszał pukanie. Gwałtowne pukanie i dzwonienie. Nie poruszył się. Zwierzątko chodziło mu po ubraniu.

Pukanie.

Krzyk pod drzwiami.

Zepchnął szczurka i odskoczył. Zwierzątko także odskoczyło na fotel i ruszyło za • nim do przedpokoju.

Odwrócił się, cisnął w nie krzesłem.

Znowu usiadło mu na ramieniu. Porwał I je do ręki. Zapragnął, aby to, co się miało stać, stało się natychmiast. Był śmiertelnie zmęczony. Pot spływał mu wielkimi kroplami po czole- Przysunął chłodne ciało do szyi. Nie utworzyło nawet pyszczka.

Odetchnął.

Przyjrzał się szczurkowi. Była to naprawdę piękna zabawka. Długo trzymał ją w dłoni. Potem włożył do kieszeni.

Powiedział:

— Siedź spokojnie.

Zamarło, posłuszne rozkazowi. Wiedział, iż uruchamia się je dmuchnięciem między ślepia. Wydobył z kieszeni i dmuchnął.

Chciało się wyrwać, ale nie puścił. Potem postawił sobie na barku i krzyknął:

— Szczurek, siedź tak, nie ruszaj się. Czy zrozumie?

Zdał sobie sprawę, że stukanie do drzwi ucichło. Podszedł. Starął się drzwi otworzyć.

Były zamknięte na klucz. Za nimi głosy:

— Na pewno jest. Boluś widział go na balkonie.

Poznał głos sąsiadki. I zaraz szczebiot Bolusia:

— Tam myszka uciekła. Ten pan układł.

— To czemu nie otwiera — mówiła dozorczyńni.

— Może się goli.

— Zaraz otworzę — zawołał.

— A to nareszcie pan. Tam uciekła do pana myszka, taka zabawka, którą Boluś miał na balkonie.

— Mam ją. Zaraz, bo mi się klucz zapodział.

— Gdzie Dorota? — pomyślał. Wszedł do kuchni. Czy ona ma go za dziecko, że się boi już klucze nawet w umówionym schowku zostawić? Kuchnia pusta.

Przekłusował ze szczurkiem na ramieniu sypialnię. Pragnął się pochwalić — jest z nim za pan brat. Wszystko, co mówiła, okazało się bzdurą, histerią. Tańczył po pokoju ze szczurkiem nieruchomo tkwiącym na ramieniu.

— Dorota, chodź! — wołał.

Obszukał mieszkanie. Nie było jej. Może wyszła po mleko?

Nagle dojrzał otwartą boczną szufladę swego biurka. Na blacie kartka. Nerwowe pismo Doroty było zupełnie rozdygotane. Spojrzał. Krzyknął.

I już stał w przedpokoju, już wołał:

— Czy pani tam jest jeszcze?

— Jestem, dlaczego nie otwieracie?

— Proszę natychmiast, natychmiast wezwać ślusarza. Stało się nieszczęście.

— Witam, nareszcie, nareszcie — profesor tyłem cofał się ku swemu barłogowi, potknął się i przewrócił.

Gramolił się długo, zanim wstał. I ten Starzec, niedołęga był kiedyś jej mężem. Dorota ze wstrętem patrzyła na niezdarne ruchy. Ani jedno miłsze wspomnienie nie ocalało. Próbowwała się mimo woli zdobyć na odrobinę litości: barłóg, niechlujstwo. A za tym wszystkim laboratorium ze szczurami.

Musiała go widać oderwać od roboty. Szumiał mały silnik. Części szczurków były porozrzucane po podłodze obok komórki.

— Łajdaku — podniecała się epitetami — nie dość, że zmarnowałeś mi najlepsze lata, to jeszcze dybiesz na życie człowieka, którego kocham.

— Ja dybię? — udawał, że się z trudem sili na ironię. Naprawdę stawał się coraz weselszy. Nie dostrzegła tego.

— Ja dybię — powtórzył. — Zabawek nie wolno do sklepów dawać? Niewinnych, dzieciennych zabawek. A z czego mam żyć? Jestem niczym. Nie krzycz — ściszył głos do szeptu — chyba zależy ci na konspiracji.

Zamilkła. Istotnie bała się zbiegowiska pod drzwiami. Za nic nie chciała, żeby jej ktoś przeszkodził.

— Nachodziła już mnie milicja. Krzyków mi zakazywali. Nasyłałaś Ich. Wyśmiali ciebie, co? Musiałaś sama, co? Dobrze, dobrze.

Była półprzytomna po nieprzespanej nocy. Przypomniła sobie koszmarne obrazy, których doświadczała, tak jest, doświadczała w półśnie: Jan rozszarpywany przez szczura o twarzy tego zwyrodniałego starca. Ona bezsilna, jak gdyby zahipnotyzowana.

Podeszła do komórki. Rozejrzała się.

Ciężki pogrzebacz sterczał pod piecem. Porwała go i wkroczyła do jasnego laboratorium, w którym ciągle szumiał nie wyłączony silnik.

Kocimi susami, tak kontrastującymi z niedołęznym wyglądem, profesor poszedł w jej ślady. Pochwyił ją za ramię.

Odepchnęła go.

Uścisk zmiękł, ale nie puścił.

— Patrz — mówił śmiejąc się profesor — jeszcze się temu nie przypatrzyłaś. Szczuruś! — krzyknął w kierunku laboratorium.

Wyskoczył stamtąd Sztuczny zwierzak, zatrzymał się, zawahał.

Wyprostowała się gotowa na wszystko: a więc skoro na razie nie może osiągnąć Jana/ją zamierza, zamierza... Dobrze. Proszę bardzo.

Ale on znowu się roześmiał.

— .Nie o to chodzi — powiedział czytając jej myśli. — Och, całkiem nie o to chodzi.

Zwrócił się do nieruchomego szczurka:

— Szczuruś — zawołał — weź go! Szybkim ruchem odsłonił wielką fotografię. Oszołomiona wściekłością i strachem zdążyła jednak pomyśleć: jak to, nie zauważyłam sztalug ze zdjęciem, choć ciągle mi się w nocy przypominały.

Fotografia przedstawiała samego tylko Jana. pięknego i młodego jak nigdy.

— No, szczuruś, weź go! Zwierzątko krążyło po pokoju . coraz szybciej.

Dorota pobladła, siała się prawie biała. Stary obserwował ją spod oka.

— No, bierz — powtórzył jak gdyby do Doroty.

Szczurek poskoczył do obrazu.

Wtedy Dorota jak najszybciej, pokonując przekłete opory wieka torebki, wydobyla pistolet ukradziony z mężowskiego biurka.

Drżącą ręką wymierzyła.

Drzwi rozwarły się z hukiem, jak wywalone. Wpadł porucznik Berda, a za nim Pęk.

Strzeliła.

Strzeliła z odległości dwóch kroków, myśląc, że mierzy prosto w tę beczelnie uśmiechniętą, znie-nawidzoną twarz.

Uderzenie Berdy w ramię zmieniło bieg kuli. Profesor dostał tylko lekki postrzał w ramię. Nie upadł. Jego długa sylwetka chwiała się jak tyka chmielowa atakowana wiatrem. Szczurek siedział nieruchomo na ramach sztalug.

Pęk z Berdą ledwo zdołali utrzymać Dorotę, wrywała się, nie chciała oddać pistoletu. Szamotali się. Profesor usiadł i chichotał. Z ramienia sączyła mu się krew, próbował ją tamować palcem. Ale bladł szybko, krew bowiem leciała ciurkiem. Słysząc było, jak ktoś z daleka woła, że potrzebna karetka pogotowia.

Nowy gwałtowny trzask kazał Dorocie zwrócić głowę w kierunku drzwi.

W tych drzwiach stał teraz Jan ze zwierzątkiem siedzącym mu niewinnie na ramieniu.

— Patrz, Dorota, patrz. To jest ta twoja „śmierć z małymi ząbkami”, patrz!

Zdjął szurka, podrzucał na dłoni, dmuchał mu w oczy.

Porucznik Berda powiedział do sierżanta Pęka:

— To mi się od dawna tłukło po głowie, taka właśnie zemsta wyrafinowana. Patrzcie — on ich rozłączył. Tak rozłączył ich, jak obiecał. Melodramaty nieraz się tak kończą. Dobrze, że choć zdążyliśmy.

Dorota postyszała widocznie ostatnie słowa Berdy, spojrzała na niego i powiedziała :

— Dla pana może dobrze, dla mnie... Puścili ją, już rozbrojoną, oddzieloną od półprzytomnego starca kordonem ludzi. Podeszła natychmiast do Jana, wyciągnęła do niego rękę.

Odsunął ją. Odsunął się, starał się nie patrzeć w jej stronę. Spokojnie odezwała się:

— Rozumiem, już wszystko rozumiem. Ale on jej nie słyszał, biegł roztrącając tłum, który narastał w drzwiach i na korytarzach, przepychał się, biegł, odpychał, potraçał złorzeczących gapiów. Jego kroki tętniły po drewnianych schodach. Berda zwrócił się cicho do Pęka:

— Weźcie ją, sierżancie, delikatnie ją weźcie.

Pęk ostrożnie ujął ją pod ramię. Nie opierała się. Kilku funkcjonariuszy torowało im drogę. Wychodziła pewnym krokiem. Tylko raz się obejrzała, aby złym spojrzeniem obrzucić cuconego właśnie przez lekarza profesora.

15

— Cóż z tego, że się nie spóźniłem — mówił porucznik Jerzy Berda — cóż z tego komu przyszło, kiedy w gruncie rzeczy nie dało się niczemu zapobiec. To się musiało tak skończyć. Profesor cały czas prowokował tę historię, ryzykując życie. Był tak żądny zemsty, tak chciał Dorotę rozłączyć z Janem, poróżnić, zniszczyć ich uczucie, że stawiał własne życie jako stawkę całej gry. Zresztą nie tylko przeciw swoje życie.

— W końcu — przerwał pułkownik — nic mu się właściwie nie stało. Leciutki postrzał w ramię bez naruszenia kości. Wyleczy się z tego w dwa tygodnie. A potem.,.

— Potem badania psychiatryczne i może, ale to raczej wątpliwe — sąd. Myślę jednak, że ta jego straszliwa pasja graniczy z chorobą. Co najmniej graniczyła.

— Ich uczucia także — dodał pułkownik, — I wszystko pękło. Tyle istnień właściwie zmarnowanych. Brzydki melodramat kryminalny grupy ciekawych, inteligentnych ludzi. Od jakiego momentu zaczął się pan w tym wszystkim jako tako orientować? Przecież to szło szybko. A kontrpartnerzy profesora nic byli łatwi do rozszyfrowania, mylili panu drogi śledztwa.

Berda zastanawiał się nad odpowiedzią. Na początku sprawy zlekceważył ją trochę, zbagatelizował jej bohaterów. Profesora uważał przecież za nieszkodliwego, poczciwego maniaka, który bezskutecznie próbuje zastraszyć zakochaną parę diaboliczną, śmieszną ironią i groźbami oraz równie komicznym zabawkowym rekwizytem.

— Nie wziąłem zresztą pod uwagę siły namiętności ludzkich, tej potężnej jednostkowej woli, która czasem jak w opowieściach romantycznych łamie po drodze wszystko i gotowa jest sama siebie spalić, byle tylko dopiąć celu.

W pracy milicyjnej, w codziennym zawodzie oficera śledczego większość przypadków, z jakimi się styka, dotyczy rozgrywek prymitywnych. Noże, sznury, w najlepszym razie pistolet bywają narzędziami załatwiania osobistych porachunków. Stawkę tych rozliczeń stanowią najczęściej pieniądze, kosztowności. Nawet, pospolite przecież, dramaty namiętności przebiegają w oparach alkoholu.

Tymczasem ta sprawa była całkiem inna, nietypowa.

— Mieliśmy do czynienia z daleko posuniętym wyrafinowaniem, z uczuciami przerastającymi wielokrotnie swą siłą i gwałtownością zwykle wybuchy namiętności.

Berdę zmyliła postać docenta Grudzińskiego. Był bowiem przekonany, że docent odgrywa znacznie większą rolę w dramacie, niż to się w końcu okazało.

— Przecież wyglądał na zabójcę Siweckiego. Profesor bowiem miał w tej sprawie alibi nie do obalenia, a innych potencjalnych zabójców w pobliżu denata nie było.

Na sfingowany wyglądał również napad na docenta, na wymyśloną — historia z owinięciem mu twarzy jego własnym szalikiem przez przestępcę i opowieść o szczurku, który ni stąd, ni zowąd zwiął. To były mylne tropy. Czyniły sprawę farsą odgrywaną przez przestępcę-dyletanta. Po prostu osoby wmieszane w sprawę, której osiłą była Dorota, prawdziwa femme fatale, popełniały dziecinne błędy, stosowały naiwne metody — wszystko z myślą o tej kobiecie.

— Z wyjątkiem jednego — profesora. On nie postępował wcale po dyletancku — powiedział pułkownik.

Porucznikowi przypomniały się ostatnie minuty przesłuchania Grudzińskiego, tuż po telefonie do komisariatu, w czasie którego tajemniczy głos zwracał uwagę na zagrożenie profesora. Sprytna, sprytna robota. Jak się Berda domyślił, stary uczoney chciał rozegrać ostatni akt dramatu w obecności asysty. Stąd jego telefon do Berdy, stąd trochę późniejszy telefon do Doroty, że to się zbliża; chciał ją ostatecznie sprowokować.

Grudziński natomiast, jak w pełni przekonało Berdę śledztwo i zeznania, istotnie nie zabił Siweckiego ani nigdy nie miał najmniejszego nawet zamiaru jego lub kogokolwiek innego zabić. Był to przypadek, który skomplikował przebieg dochodzeń.

— Takie paskudztwo — mówił Berda — przez które na początku i w dalszym ciągu akcji zgubiłem z oczu postać centralną, profesora, dopóki sam nie dał o sobie znać swymi telefonami. Ale to było już prześfajnowane. Zbyt sprytnie, abyśmy nie rozpoznali prawdy.

Dorota przyjechała do Grudzińskiego wieczorem. Co działo się w dwóch pokojach na Kępie w chwilę później, tego już się nikt nie dowie. Nie wiadomo też, jakich argumentów użyła Dorota, aby skłonić Grudzińskiego do wizyty u Siweckiego, z którym przecież prawie nigdy się nie kontaktował.

— Ależ ona umiała podbijać mężczyzn! — powiedział pułkownik.

— Jeszcze trochę, a sam bym może wpadł — uśmiechnął się blade porucznik.

— Szczerze mówiąc wszyscy u nas byli i są po jej stronie.

— Doszli z Grudzińskim piechotą, mimo dość późnej pory, pod mieszkanie Siweckiego. Ona jedna naprawdę wierzyła, że szczurki są „śmiercią z małymi ząbkami”, ona jedna wierzyła, że profesor wysłał je i kieruje nimi zdalnie, aby dopadły i zabiły Jana. Stary zaś naumyślnie rozgłaszał te bajdy, naumyślnie urządzał seanse z portretem, głośne na całą kamienicę, naumyślnie tak ustawiał program szczurków, aby uciekały one ze sklepów. Wreszcie spowodował całkiem niewinny zresztą atak szczurka podczas spaceru Jana.

Poszli więc Dorota i Grudziński do Siweckiego, żeby prosić go o wycofanie wszystkich sztucznych zwierzątek i zaprzestanie ich kupowania. Ona czekała na wynik rozmowy pod bramą. Nie chciała wchodzić, Siwecki bowiem był kiedyś także jej amantem. Jej obecność mogła więc tylko skomplikować wynik starań Grudzińskiego. Denerwowała się, że docent długo nie wraca. Piętnaście minut w takich okolicznościach wydaje się długie jak godziny. Grudziński natomiast był tak zaszokowany widokiem, jaki ujrzał, że kompletnie stracił głowę.

Siwecki leżał martwy. Nikt go nie zabił. Zmarł na atak serca. Od dawna się leczył, miał za sobą dwa zawały. Dużo pracował, ogromnie dużo palił. Zmarł trzymając papierosa w palcach. To znaczy, zmarł nie atakowany.

— Na papieros nie zwróciłem początkowo uwagi, choć tkwił ciągle między palcami prawej ręki. Przeoczył także ten fakt nasz lekarz. Tak czasem bywa. Zwłaszcza gdy rany szyi rzucały się w oczy. Sugerowały rodzaj śmierci.

Później, już po orzeczeniu lekarskim zacząłem uważać całą wersję o pogryzieniu Siweckiego przez szczurka za nieprawdopodobną, za sztucznie skonstruowaną i zmyślnie wykonaną. Dowiedziałem się też, że mógł to wykonać właśnie Grudziński jako były chirurg, były bardzo dobry chirurg. Tylko że ten chirurg zrezygnował z medycyny, gdy mu umarła pod nożem pewna młoda dziewczyna. Mówiono, że to jego nieślubna córka.

W jakim celu została skonstruowana legenda o pogryzieniu, która stała się rzeczywistością? — oto było pytanie.

Jedno jest pewne. Grudziński na widok zmarłego początkowo stracił głowę. Orientując się jednakże w naszych podejrzaniach w stosunku do profesora, postanowił, dla dobra Doroty, jeszcze bardziej pograć starego uczonego. Usuwał w ten sposób zagrożenie z jej drogi życiowej.

Aresztowany i sądzony profesor przestawał być demonem, miał się stać pospolitym przestępcą. Więc zaraz opowiedział Dorocie o pogryzieniu Siweckiego przez szczurka. Działał w zamroczeniu, nierozważnie. Rozstała się z nim, nie pozwoliła się odprowadzić pod swój dom, bała się zazdrości Jana. On więc pędem wrócił do siebie pierwszą złapaną po drodze taksówką.

— Czy taksówkarz to potwierdził? — spytał pułkownik.

— Tak. Długo trzeba było go szukać. W końcu jednak przypomniał sobie wzburzonego pana z charakterystycznym długim szalem. Mężczyźni rzadko noszą takie szale, zwłaszcza w tym wieku. Należy do

akcesoriów stylu młodzieżowego. Chodziło zresztą o ten właśnie szal, którym potem wściekle zazdrosny o Dorotę Jan owinął Grudzińskiemu głowę, pragnąc mu sprawić solidne manto.

Taksówkarz powiózł docenta do jego mieszkania na Kępie. Kazano mu poczekać, więc czekał, obserwowany przez gospodynię zza firanki. Następnie docent poprosił o podwiezienie w pobliże domu Siweckiego. Oczywiście nie pod sam dom, tylko dwie ulice dalej. Skradał się jak kot, kluczem zabranym uprzednio otworzył sobie drzwi. Operacja za pomocą ząbków szczurka zabrała mu mnóstwo sił i czasu, mimo że jako doskonały chirurg pracował bardzo zręcznie. Spytałem go podczas przesłuchiwania:

— Dlaczego właśnie pan to zrobił? Czy naprawdę aż tak bardzo zależało panu na pogrążeniu profesora, na rzuceniu na niego podejrzeń? Nie bał się pan jeszcze bardziej w ten sposób zastraszyć i tak już zastraszonej Doroty Skierskiej?

— Niepotrzebnie i trochę bezmyślnie kierowany żądzą pogrążenia profesora powiedziałem Dorocie po pierwszej wizycie u Siweckiego, kiedy ona czekała na dole, że spostrzegłem dzieło szczurka. Teraz już musiałem dostosować się do wytworzonej przez siebie sytuacji. To było idiotyczne.

— Nie zastanawiał się pan nad sprzecznością swojej oficjalnej ekspertyzy dowodzącej nieszkodliwości szczurków ze stworzonym przez siebie stanem faktycznym?

— To było celowe. Myślałem, że twierdząc uparcie, że te zabawki są nieszkodliwe, zwolnię się od waszych podejrzeń o stronnicze działanie przeciw profesorowi.

— Tak opowiadał mi płaczącym głosem Grudziński. I dodał: — Postępowałem naiwnie.

— Typowy przestępca dyletant.

— Właśnie. Profesor natychmiast wykorzystał sytuację, chcąc oczywiście powiększyć grozę, którą stałe stopniowo potęgował dla uzyskania punktu kulminacyjnego — zbrojnego wystąpienia Doroty przeciw sobie. Takie wystąpienie musiało rozłączyć kochanków. Jego gra była grą na wielkiej scenie. Naprawdę wspaniała rola. Potrzeba mu więc było jakiejś drugiej ofiary szczurków.

— Zabicie ekspedienta w domu Doroty Skierskiej — przerwał pułkownik — należało uznać zatem za świetnie wyreżyserowany akt dramatu. Przedostatni akt tego dramatu grozy i zemsty, w którym śmierć była sztucznym zwierzątkiem z małymi ostrymi ząbkami. Berda zastanowił się przez chwilę.

Nie był pewny, jak to wyglądało naprawdę. Z profesora żadnych w ogóle zeznań nie dało się wydusić, choć jako lekko ranny, zachował całkowitą przytomność umysłu. Uśmiechał się kpiąco. Żartował. Cieszył się jak małe dziecko z całego przebiegu zdarzeń. Przyznawał się do wszystkiego — po chwili odwoływał swoje niby-zeznania.

— Tak. tego dotąd nie wiemy. Myślę, że w tej reżyserii były błędy. Profesor napadł prawdopodobnie na ekspedienta i zabił go. Nie zdążył jednak odpowiednio wykorzystać szczurka iub nie chciał. Stratowali potem zwierzątko gapie. Znalaziono je pod ladą.

Moje podejrzania potwierdził telefon. Przecież jeszcze tego samego dnia, kiedy rozgłos dokonanego przestępstwa nie mógł być wielki, ktoś już dzwonił do nas, ostrzegając o zagrożeniu profesora, a w chwili potem potęguje przerażenie i wywiera niejako presję na rozszalałej Dorocie, telefonując do niej, że to się zbliża. Ten telefon przypieczętował decyzję Doroty.

Wtedy dojrzało w niej w pełni postanowienie zabicia swego byłego męża. Pozbycia się go za wszelką, nawet najwyższą cenę.

— Myślę, poruczniku — powiedział pułkownik — że na powzięciu tej decyzji bardziej zaważyły oznaki zmęczenia i zubożenia, spadek pasji miłosnej Jana.

— Tak. To był właściwie główny motor jej działania. Rodzaj samobójstwa. Pojedynek, w którym obie strony miały ulec zniszczeniu. A propos. Dostałem przed chwilą wiadomość, że mimo prośby Doroty Jan nie stawiał się już na spotkanie z nią do aresztu śledczego. Choć pozwolono na takie spotkanie. Miałbym ogromną ochotę, panie pułkowniku, prześledzić ostatni akt tej historii. Dzwoniono przed chwilą, że Jan zamierza wyjechać. Podobno kupił bilet lotniczy do Krakowa na piętnastą. Rozumie mnie pan?

— On tu nie ma żadnej rodziny?

— Nikoguteńko. Pochodzi z Krakowa. Zobaczymy, co zrobi?

— Berda — odparł pułkownik — rozumiem pana ciekawość, ale w tej chwili już wszystko skończone. A nowa historia na razie nie ma powodu nas interesować. Niech ten Jan wraca do Krakowa sam czy z kim tam chce. Niech sobie ucieka. To jego prawo.

— Ale Dorota. Dorota nie może uciec!

— Ach, poruczniku. Nie wiedziałem, że jest pan aż tak sentymentalny. Jakkolwiek mówi się w komendzie, że zgubi pana słabość do kobiet. Niech pan uważa!

Pułkownik uśmiechnął się, na twarzy Berdy malował się jednak sztuczny wymuszony uśmiešek.

— I niech pan wreszcie zrozumie, że w gruncie rzeczy uratował pan tę kobietę i profesora. Gdyby nie przybył pan w porę i nie wytrącił w ostatniej chwili pistoletu z jej ręki — byłby trup. I byłaby morderczyni.

— Będą ją i tak sądzić za chęć zabicia byłego męża.

— Ona działała w afekcie. Była sprowokowana. To okoliczność łagodząca.

— Wątpię jednak, czy jest mi wdzięczna — powiedział Berda, stuknął obcasami i już chciał wyjść.

Pułkownik:

— Chwileczkę. Mam dla pana jeszcze jedną sprawę. Bardzo skomplikowaną. Tu są akta. Chodzi o zabójstwo dyrektora małej zagranicznej centrali handlowej. Dziwna sprawa.

